

Wybór poezji Karola Wojtyły – Jana Pawła II

Konkurs Recytatorski *Poeci Karola Wojtyły* 2012

„[...] Dla piszącego te słowa cała ta twórczość była i jest jak gdyby kluczem do życia wewnętrznego Jana Pawła II od czasów młodości do dzisiaj. I będzie ona takim kluczem dla większości czytelników. Nie ma innych tekstów Karola Wojtyły, które by ukazywały nurt jego życia wewnętrznego i wiele skrytych myśli i przeżyć natury mistycznej, jak tylko ta właśnie poezja. Ujawniają je zarówno wiersze, poematy, jak i wierszowane dramaty lub medytacje. [...]”

Marek Skwarnicki

„Poetycka droga Papieża Wojtyły”

Ze wstępu do:

Karol Wojtyła, *Poezje, dramaty, szkice* & Jan Paweł II, *Tryptyk rzymski*, (2004), Kraków: Wydawnictwo Znak

Obecny zbiór został przygotowany z zachowaniem w utworach układu, pisowni i interpunkcji Autora - w oparciu o całościowe wydanie twórczości literackiej Karola Wojtyły:

Karol Wojtyła, *Poezje, dramaty, szkice* & Jan Paweł II, *Tryptyk rzymski*, (2004), Kraków: Wydawnictwo Znak

- Karol Wojtyła, *1. Poezje*: str. 27 - 176;
- Jan Paweł II, *Tryptyk rzymski*: str. 509 - 523;
- *Aneksy*: str. 529 - 547.

Przygotowanie: mgr Anna Grabowska

Poezje Karola Wojtyły – Jana Pawła II:

Karol Wojtyła

- 1938 – 1939 Renesansowy psalterz
- 1944 Pieśń o Bogu ukrytym
- 1950 Pieśń o blasku wody
- 1950 Matka
- 1952 Myśl jest przestrzenią dziwną
- 1956 Kamieniołom
- 1957 Profile Cyrenejczyka
- 1961 Narodziny wyznawców
- 1962 Kościół
- 1965 Wędrowka do miejsc świętych
- 1966 Wigilia wielkanocna 1966
- 1974 Myśląc Ojczyzna...
- 1975 Rozważanie o śmierci
- 1978 Odkupienie szuka twego kształtu, aby wejść w niepokój wszystkich ludzi
- 1978 Stanisław

Jan Paweł II

- 2002 Tryptyk rzymski

ANEKSY

Karol Wojtyła

- 1939 *[Nad Twoją białą mogiłą]*
- 1939 Harfiarz

Spis zawartości:

	Strona
Karol Wojtyła	
Renesansowy psalterz (fragmenty)	4
Pieśń o Bogu ukrytym	22
Pieśń o blasku wody	35
Matka	40
Myśl jest przestrzenią dziwną	44
Kamieniołom	47
Profile Cyrenejczyka	52
Narodziny wyznawców	59
Kościół	63
Wędrowka do miejsc świętych	66
Wigilia wielkanocna 1966	69
Myśląc Ojczyzna	78
Rozważanie o śmierci (fragmenty)	81
Odkupienie szuka twego kształtu, aby wejść w niepokój wszystkich ludzi (fragm.) ...	83
Stanisław	85
Jan Paweł II	
Tryptyk rzymski	88
ANEKSY	
Karol Wojtyła	
<i>[Nad Twoją białą mogiłą]</i>	99
Harfiarz	100

Dawid

Renesansowy psalterz (KSIĘGA SŁOWIAŃSKA)

Kraków, 1939 (wiosna, lato)

† *Emilii, Matce mojej*

Nad Twoją białą mogiłą
białe kwitną życia kwiaty-
- o, ileż lat to już było
bez Ciebie – duchu skrzydlaty –

Nad Twoją białą mogiłą,
od lat tylu już zamkniętą,
spokój krąży z dziwną siłą,
z siłą, jak śmierć – niepojętą.

Nad Twoją białą mogiłą
cisza jasna promienieje,
jakby w górę coś wznosiło,
jakby krzepiło nadzieję.

Nad Twoją białą mogiłą
klęknąłem ze swoim smutkiem –
o, jak to dawno już było –
Jak się dziś zdaje malutkiem.

Nad Twoją białą mogiłą,
o Matko – zgasłe kochanie –
me usta szeptały bezsiłą:
- Daj wieczne odpoczywanie –

PIEŚŃ PORANNA (psalm)

Panie, jam Dawid, syn Izai,
Piastowy jestem syn.
Ty mi na sercu znak wypalisz –
zasłucham się w Twój rym.

Wiosną-ś przyoblókł, wiosną tęsknot
ciało i siłę bark –
Niechaj jesienią nie rozpękną

tęskniące struny harf.

Ja jestem Dawid, jam jest pasterz –
Błagalną wiodę pieśń,
byś się zmiłować chciał nad Piastem,
byś żniwo zwolił zwieźć.

A gdy powstanie olbrzym Goliath,
by złamać młodość mą –
Błagają ciebie Syjon, Moria:
ku wspomóżeniu zstąp!

Taka jest pieśń poranna
Dawida – Pasterza

SONETY – ZARYSY

Do sonetów!

Już-ci to rok blisko.

Czytałem w odwieczerz te listy – sonety. – Owo: „Stań się!”. Słowa w gorejącej duszy; - owo: jak się rysuje kształt, jaki jest jego zaczątek, pierwszych rzeźbiarskich rysów dzieła. – Sonety: Pieśni wiosny, wiosny roku tragicznego. Pieśni ufne we wigilię strasznych dni. Pieśni radosne nadzieją, pewnością, poczynaniem się – czegoś: widzenia-pragnienia, tęsknoty, dzieła. Pieśni-przecucia. Sonety. – Z ziemi i nieba, z Boga i człowieka, z pogórzy i z drzew, i z onych sobótek świętojańskich poczęte, zaczerpnięte, w ześpiew złożone. Kiedy owe symbole mówić zaczęły do duszy młodej, kiedy domagać się zaczęły – czego? czego? – Wyzwolenia, śpiewności tęsknej, prorokowania. Tworzone w bólu, tworzone wśród straszliwego rozdzwięku, pośród zamętu dni dojrzewających Ziemi, gdy jedni wołali: *Miserere*, a drudzy bluźnili: Ty, Przeklnij, jeśliś mocen! – Tworzone w Cyprianowym bólu, jako każda sprawa poczynająca się z Miłości, jako pierworodzone dziecko. Tworzone w bólu i trwodze, tworzone w wątpieniu nieustannym, że to nie-Prawda, złud bawisko, igrzysko rymów – i nic. Ale jakaś moc duszna mówiła: To prawda, - może nie prawda świata, ale prawda twoja. Taką-ś ją obrał i ujrzał. Mów! Tako ci znaczone jest. Mów! Ja każę. Przez boleści i wątpienie, przez słabość i trud: Mów! – I mówiłem. Com myślał, com żądał, com przeczuł. Strzępki ino, okrajki, początki najpierwsze syntezy, świtania błyski najbladsze. Ale świtania.

Już-ci to rok blisko.

Przeszedłem od tego czasu głębie upadku, zwątpienia i zaprzeczenia przepastny parów. I wtedy zszedł ku mnie z duchami innemi duch jeden: Anioł możny Słowem, i rzekł mi: Wierz! – i przyszli ku mnie ludzie, i przyszły ku mnie czary, i obaczyłem. I umocniła się wiara moja tak, że dzisiaj mocniejsza jest niż onych dni, szczęśnych na pozór, ale już od wnętrza robactwem toczonych, rozsadzanych...

I spokojniejsza jest wiara moja. Ku sklepieniu-ci już idzie on kościół mój, świątynia duszy mojej.

A oto teraz, kiedy przypominam, jakem fundamenty łożył – ku Wam się myśl moja nawraca – Przyjaciele, Przyjaciele moi! cośmy razem w tej jednej winnicy. Kędy żeś, Bracie mój? Coś mię świtów uczył tajemnicy, coś mi piękno tej ziemi na oczy kładł, jak pasma

anielskich włosów. – Kędy żeś? – Nie wiem ponoć. – Jeno to wiem, żeś w cierpieniu jest. Jeno to wiem.

Ale wierzę. Poprzez cierpienia dni. Że zaś wraz staniemy. My trzej. Jak fundamentu zwał. My trzej.

Dziś w odwieczarz wspominam moje sonety i myślę o Was.

roku wojny

Kraków, wiosną 1939

I

(LIST DO PRZYJACIELA)

Sobótkom się kłaniaj ode mnie
i świątkom starego Wowra,
post sprawującym po drogach –
ascetycznym, wychudłym świątkom.

-- Płomień sobótki się zegnie,
zakotli nad goryczkami,
na dwóch zakolebie się nogach - -
Kłaniaj się dębom, świerkom – wszystkim pamiątkom.

W tych sobótkach się serca sprzęgają
utajonych płomieni węzłami.
Poezja jest ukojeniem – sobótek córa.

Madochorze się kłaniaj ode mnie
z poszarpanemi sosnami - -
Ładnie dziś u Was, w górach!

II

(LIST DO PRZYJACIELA)

Ten list, Drogi, do Ciebie, bo z Tobą się dzielę
wschodami zórz i chlebem białych błogosławieństw,
i blaskiem, który księżyc rozsuł po popiele,
tęsknotami za Złotym Wiekiem – w śnie – na jawie...

A tu mosty, tu drogi, tu ciernie. Tak co dzień.
Ludzkość spętany skrzydłom wciąż łoży objaty.
Lecz oto jest poeta – piastowicz-kołodziej:
niech pobuduje mosty, drogi wskroś zatury.

Wznosić tedy pocynam młodzieńczy most Dążeń:
budowla kaskadami upiętrzona w górę.
- Na wieczór ten lipowy wspomnij, jak ja pomnę,

wspomnij: błękitny powiew przechadzał się kruzgankiem –
Już wtedy, ja już wtedy ten takt słowom kułem
- Potem Afrodis z fal powstała -: ale to było rankiem.

III

(LIST DO PRZYJACIELA)

Wyjdź porą ponieszporną w karmazynowy szlak.
W błękitne wejdź omglenie, w ziemistość czarnych ścież.
Jak dziecię małe się wsłuchaj, u zielonych klęcząc młak
w *tabernaculum* ziemi – serce przy sercu mierz!

Korzeniem soków sięgnij! – Kroplami się sączą w konary
ukrzyżowane cierpieniem, a w każdej kropli jest ból.
Matki powiedzą ciężarne, że ból się w serca zarył...
Dzieci się pytaj... czy wiedzą?... Matczynym piersiom zwól.

Na psalmy wychodzisz wieczorne. Czemu jest w ziemi boleść?
i w grudzie każdej się kryje karmazynowy stop?
Zapytaj się matki w odwieczertz, karmazynowym znojem
gdy niwę rozchełstana radłem rozrzuca chłop –

a dowiesz się odpowiedzi: - że wrosła nam w ciała i dusze
i ból jej z naszych jest bólów: w jedno stopiony kruszec.

IV

Czyliż nie tęskni wraz z nami tęsknotą wierchów i topól,
z bolesnych fundamentów gotykiem wyrosłych wieżyc?
- O księżycowej nocy witraże dojrzyysz wśród mroków,
gdy powiew pójdzie po dębach prawdziwy, nocny i świeży,

i jaśń swoją księżyc rzuci w lipowe malowidła:
w konary, w pnie i w gałęzi splełanych mroczne marzenie.
W takim się tumie zejdziemy. Gdy witraż nad ranem przybladł,
pójdziemy na jutrznię – mnichy – modlitwą, różańcem, milczeniem.

Tęsknotą się zejdziem z ziemią – my, z niej wyrosłe topole,-
widzimy na co dzień, o matko – twój ból, nasz ból i twą wiarę.
Dusze nam uwieńcz laurem – cierniowym bólem,
- na jutrznię zejdź z nami przed ranem, na skiby pełne ziaren.

U widnokręgów nas potkaj, nad granicami błękitu –
i nad oraczem, nad siejbą, nad pokwitaniem się zlituj!

V

O rozżarz mnie, słońce wschodzące! Świtaniem wstałem z grud.
Ciepła trza ziarnom pod sercem i krwi potrzeba ciepła –
W polonez się wmieszam przedziwny: w poranny wiatru chód

- drzewami idzie – w wylotach – po zapach ze mchu depta –

Na gościńcu świtania nie przejdę przez roztecz melodii,
takiej szerokiej jak serce Piasta, gdy chatę otwierał,
takiej wolnej, jak witraż, co noc był przemodlił,
takiej cichej... – słuchałem świtań takich nieraz.

Wtedy się myśl poczyna – powieść o duszy idącej,
o duszy upragnionej, czekanej w każdym akordzie –
Polonez przejdzie po drzewach – i pozostanę drżący
- i będę odgłosy ostatnie jak kwiaty po halach zbierał –

i u najcichszych źródeł tej duszy pieśń wymodłę:
- z najcichszych tonów mszalnych w tęsknotach idąca Era.

VI

Duszy niech będzie wolno od poloneza do hymnu!
- Polonez oto, jak symbol renesansowych wcieleń –
Hymnem uderz mnie w serce! ofiarą studymną!
stygmatem gotyckich zacisz! Najpotężniejszy Eli!

Otom ja jest, jak świątynia wśród tęsknot wyrastająca.
Ściany rozpieram ceglane pod stropy, po chóry, po szkarpy.
W organu jestem ofierze, w białych się niosę opończach,
w obłonkach z kadzielných dymów – Oto mi wrota rozwarli.

I jestem w człowieczeństwa psalmicznym *Miserere*:
wołam tęsknotą ognia, melodią pierwoiącą –
ściany rozwieram ku krzyżom stojącym na tęczach –

O spłyni anielską jaśnią nad przepastne topiele!
Czasom przybliż Twą miłość! Niechaj ciemność roztrąca!
w świątyniach wiosennych wyzwolin niechaj nie będzie udęczeń!

VII

(LIST DO PRZYJACIELA)

Wiara w idący Czas. Tęsknoty są drogą zbliżania.
Tęsknoty są dusz zjednoczeniem w oczekiwane dzieło.
Pragnienia – wołą. - Biel przywdziej na święto winobrania!
Wierzę w ziszczenie zespolonej woli: w idący przełom.

I przeto – Drogi – o sobótkach zacząłem te sonety:
W sobótkach – patrz: ogień pragnie ku meteorom.
Patrz: tam Słowianek białość, tam zapach polnych stepów:
Podleśne płomienie tęsknot wydolą Złu – wydolą!

Ja słyszę ten uderzeń serdecznych modlący chorał
i oczu widzę morza: księżycem ziskrzzone fale –

po ścieżkach idą w procesji, po zgrzebnych polach
z ofiarą serc i oczu – z ofiarą całopaleń.

I sam podnoszę oczy, melodię chwytam sercem:
O Zmartwychwstania Chryste! – melodie w jedno zlejcie!

VIII

Widzę tę tęsknot budowlę, jak dusz słowiańskich gontynę.
Słowianie się prawi wywodzą z dębowych, drzewnych zadum.
Z bierwion ojcowiska chata. Pługa się ino imię.
Słowiańska duszo tęskna – Idę po świętych śladach.

Słowiańska duszo moja – tyś jest wpatrzaniem w Piękno,
i jesteś żądzą raję – z wieczystych nieukojeń –
Oto sięgasz prawicą, pochodnią zbrojną ręką
w wierzeje kute – gontyny rozewrzeć podwoje.

Oto tu apostołski jest kościół, chram i zamek:
tu ludzi miodych, piastów gościnych i lechów.
Oto w monstrancji niosą słowiański Sakrament –
Pokój idzie przyłogiem – błogosławi strzechom...

I oto – Amen – pieśniom niech się stanie zadość:
Słowiańska pieśń Miłości – Łado – Łado – Łado!

IX

Duszo, słowiańska duszo! – Wiem, są u Twego kościoła
progi z modrzewiów i obeliski, podsienia - -
Kadzidło wonieje jałowcem... w dymach ofiarnych wołam:
Duszo, słowiańska duszo, w jakie cię wkuto kamienie?

Jest w tobie wolność i rozhasanie warchołów leśnych – świerków,
jest kasetonów chmur sklepienie, - zieloność drzewnych skłonów,
a ponad tę odwieczną wolność masz białość modlną wierchów
i zamyślenie strzeliste w harmonii ostrołuczastych tonów.

Jest w tobie z renesansu cokół, szeroko zabudowany,
jak oddech w szerokie piersi wzięty, w kariatydowe sklepy,
myślą ponad kariatyd barki ku gwiazdnym strzelasz ranom,
tęsknotą i wolą Piękna niebiański ściągasz przepych.

Słowiańska duszo moja! Marzycielko odwieczna!
Ty sobótko – podleśna – omodlna - przyrzeczna.

X

Największą Prawdę ludzką odkrywam w tobie co dnia,
najszczerzy płacz dziewczęcy, modlitw serdecznych rzewność,

których co mają słucham, gdy świat się pieśnią zapłodnia –
wtedy się w tobie, o duszo, taka roztkliwia śpiewność,

że wierzę w przemijanie najgorszych dni katorg,
w jasność wierzę idącą z twojej wawelskiej gontyny,
co nad słowiańskim ludem, jak Jowisz rzymski Stator
Sprawiedliwości miarę i miarę dzierży Czynów.

I otóż na Wawelu symbol duszy słowiańskiej kształtów:
nad kondygnacją kaplic, Zygmontów renesansem
z cegieł się żebrowania w gotyckich okien światło
pną, ku rozetom pował, co naw zakuły pancerz.

I zgoda jest dziwna tej duszy słowiańskiej i Wawelu,
jak jednych rąk melodia, jak symfoniczny prelud.

XI

Z Wawelu po Akropole! Jednością duchy bratam –
Myśl dionizową spod gruzów wiecznego odgrześć *teatrum* –
- nie szukaj, przechodniu, w rozwalin nadtajgetowych utratach
myśli gotyckiej Platona, empirejskiego wiatru –

Z wolności renesansowej, z marmurów boskich Olimpu
dźwiga się Grecja Aten – Sokratów, Sofoklesów.
- Patrzaj, nad architravem – poświata, jasność, nimbos:
Mesyjasza dowidzą – Empirejskiego Kresu!

Po wiekach dyjamentowe nad Akropolem krzyże,
wcielenie Chrystusowe w doryckie, jońskie kształty –
Duszo z wolności wyrosła, moc mesyjańską wyrzeźb
i zaklinj w psalmy Miłości – w renesansowy psalterz!

I powstań wcieleniem nowym – odwieczna Beatrycze –
Drogę nam ku Miłości słowiańskim oświeć zniczem!

[*] Myśl, co się urodziła nad Kefizem – i nadtajgetowa Myśl. –
Porównaj. Ja tu odkrywam ziarno prawdy. – Powiedzże mi –
Drogi Mój, czy dziś nie przejdiesz na klęczkach po zwałiskach Akropolu?
Czy tak nie przechodziły wieki?
A ze Sparty co?
Izrael miał Objawienie i Proroków. Ale oni też mieli Prometeja.
Zmagania czasów dzisiejszych czyż nie są jak zmagania Aten ze Spartą.
Bój ten sam. Tylko teraz cały glob obejmuje.

XII

Na ścieżkach Chrystusowych – popod dębami zachwyków,

o duszo czasów idących, jaśń twą ewangeliczną
ujrzałem w szlakach zórz od ziemi ku zenitom
i usłyszałem w chórach – w ogniach woń czułem żywiczną.

Wieczory idą kupalne. Weselem idą i wiosną.
Spod lip się można szczęściu ludzkiemu napatrzeć do syta.
Czerwień miłosna – kupalna... Góry w płomieniach rosną,
jak posągi lechickich władcyków, jak widma lepszych świtań.

W takie noce, w takie noce kupalne – renesansowe noce
zapraszamy Cię z kwietnych kapliczek, z wowrowych świątków i z tumów
w wielki zbór dusz tęskniących, pod stropy gwiezdnych złocen,
na święto oczekiwania bartników, świątkarzy i zdunów.

Pod dębinami przystań, Biały Gościu Upragnień –
gdy w wiatru błogosławieństwie pieśnią wezbiorą żagle.

XIII

(LIST DO PRZYJACIELA)

W czerwień się ubierz dzisiaj! Odwieczny dziś taka wonna.
Pójdziemy w podlesie – z żagwiami pójdziemy rozżarzeń.
Wiatr w organ uderzy lasu, melodia pokłękane korna –
oto jest miłość wieczoru, co rozplomienia nam twarze.

Czy słyszysz ten szum kaskady, co z skałą się zderza w parowie?
- Rozpalcie tu ogień wędrowcom! niech nie poginą w percicach.
Rozhymnij, wietrze, organy! Zbratanym oto w Słowie
zasypią oczy jabłonie, płatowiem spoczną na licach.

Głosy obłądne w dole – czy słyszysz wtóry Babelu?
Rozjaśnij im ciemń manowczą – rozżagwij zwiastunem!

Potem w storczykach pokłękuj – i scichnij, mój Przyjacielu,
przy sobótczanym ogniu. – Języków świetlistych łuną,
organem lasu – czy słyszysz? – ponad blask błyskawicy
nad wieczernikiem świata On spłynął – Ptak Gołębiczy.

XIV

O tkliwy Pelikanie! Hostio bezbrzeżnych mórz!
- Rozpęczniaj się, kłóśna ero, ku łaskom chlebnym dni –
Takiej potrzeba duszy, co weźmie wina kruż
i pójdzie poić spragnione Chleba i Pańskiej Krwi.

Takiej potrzeba duszy, co czarnym krucyfiksom
rzuci do nóg bolejących męczeńskich pochodni pąk,
co wypowiada ból świata, nieszczęścia brzemię rozwikła
i sięgnie ręką po Miłość okrzyżowanych rąk –

A drugą ręką serc sięgnie – najbiedniejszego z nędzarzy
i sercom owym objawi żar przebitego Serca,
i w obu tych serc ognisku płomieniem się rozżarzy –
Tęsknotą wystrzeli ludzkości modlitwa coraz szersza –
Na Ducha oczekiwaniem jest Era i Codzień i Człowiek,
serca sobótek i ludzie, zbratani tęsknotą w Słowie.

[*] Patrz na niektóre obrazy Świętego Franciszka z Asyżu.

XV

Ku tym sercom, ku tym sercom zbratany w Słowie
rozchyliłeś – o Krzyżu – ramiona, bracie serdeczny z Alwerni,
ku duszy czasów idących – gotyckiej i renesansowej
schodzisz, ty, znamię Miłości, przy drogach się miłosiernisz.

O weźcie, weźcie z Wawelu, weźcie z Mariackiej świątyni!
i ten, najbardziej przydrożny, najbardziej wowrowy z krzyżów!
z największych bólów ukute, bo Chrystus kuł je – Snycerz,
w sercach się objawieniem nad padołami zniżył –

z umiłowania ich wybrał: proroków i apostołów
i Dobrą zwierzył Nowinę prostakom, rybitwom, artystom –
i dał im znaki mocy: orła, człowieka, lwa, wołu –

O ty! ty z sercem płonącym! Tyś Pańskim Ewangelistą!
Podźwignij, o duszo słowiańska, tę Arkę Bożych Objawień,
jasnością przydrożnych krzyżów spragnioną erę nawiedź.

XVI

Oto jest droga Piękna: z prometeńskich błyskawic
i z ognia sobótczanego, z ogników w krzyż płonących –
wśród mrocznych dróg rozwalin: ścieżki splątane zbawić
apostolskimi stopy i sercem źródeł bijących.

Zejdź w korab nad Genezares! Wyjdź z pieśnią miłowania
ku kamienistym perciom, krzyżami wieńczonym turniom –
obłoki będą mgławce całunem wid przesłaniać,
oczom ludzkim spragnionym darmo przezierać półmrok.

Lecz łaską uderz Mojżesza, co z bólu toczona człowieka!
Wierzą w zmartwychwstanie obłoków z pokładów mgieł,
co przesłaniają Tatr widok... Na odsłonięcie czekam
owego ścian wzniesienia i na Objawień dzień.

Bo wierzę w tęsknoty ludzkości, topolom podobne i sosnom,
kolumnom podobne Piękna – i rezurekcjom – i wiosnom.

XVII

(DO PRZYJACIÓŁ)

Wśród *teatrum* zniszczenia, na cesarjańskim forum
żyjemy trzy kolumny w ramionach architrawu,
z ziemi zrodzone cokołów, ku wiecznym Kapitolom
w mit zapatrzone ludzkości, w trud kamienistej uprawy.

Wpośród rozwalin *teatrum*, w kajdany zakutych wrót,
nad posągami Wolności, Miłości zdeptanym marmurem,
wstajemy – o Przyjaciele – trzech ognisk żar i głód,
kolumny wśród ruin forum zniszczenia zbratane bólem.

Ku Kapitolom Wolności, w oczekiwaniu wyzwolin,
na święte iszczenie się mitu – mesyjańskiego profilu,
na kondygnacjach *teatrum* wpatrzone w objawień Olimp –
gdy wieczór się słowiański nad rozwaliska pochylił –

z ognisk się łuną żywiczą ku świętej poniosło włości,
ponad trzech kolumn zbrataniem w ewangelicznej jasności.

Skończyłem na Święty Jan 1939

(... A GDY PRZYSZEDŁ DAWID DO ZIEMI-MACIERZY SWEJ)

(psalm)

Wyznanie ci dziś niosę, o ziemio jesienna –
Przypomnę wpierrw. Tum snuł się, tum pojął zadumę
słowiańskich dębów, brzezin. Tu pieśń moja pierwsza,
jako łan obrodziła, zem poczuł się tumem,
w którym rozpalić trza, trza rozpłomienić ogień –
Wśród twoich ścieżyn kwietnych biegałem jak pasterze,
ziemio moja rodzima – i łączyłem z Bogiem
drożyny twe pagórne, i pleniłem chwasty,
i umiatałem szlaki jasne Idącemu.
Z ciebie jest wiosna tęsknot, wiosenne przeczucie
i chęć, żeby w objęcia wysokiemu Niebu
rzucić ciało swe młode – od małości uciec - -
O ziemio, moja ziemio! Tyś mi dziesięcinę
obrodziła najpierwszą pieśnią i młodością,
twoim chlebem się syciłem, napawałem winem,
aż oto mi tęsknoty wiatr jesienny rozciął,
jakby jednym zamachem, jednym ciosem miecza,
poobalał posągi, widzenia pokruszył,-

i kazał mi się z pieśnią, z tęsknotą mą sprzeczać
i potargał cięciwę piętej pieśnią kuszy - -

- - Tedy ci powiem, ziemio, rodzima dziedzino –
Nie słuchaj, co ci mówią przechodnie, co ludzie –
Ja ci rzekę rzecz moją, ja wiem ją skądinąd,
a ty, o ziemio-matko, posłuchania udziel:

- - Poram się z pieśnią, matko. Ciągłe mię obala
ten wichur, co od świata przychodzi, ten zalew,
co idzie jak stu końmi rozpętana fala,
a ja falę mą pragnę nad te wynieść fale.
- - Tum się nauczył, matko, odmiennej nauki,
stąd-em wysnuł tajemnicę słowiańską, tum odkrył
tę prawdę, którą twoje wyszumiały buki,
tu melodią łaskawą Pan mej duszy dotknął.
I jam się też rozszumiał – buk między bukami,
tako mi święte stało pasterskie śpiewanie,
żem zamarzył – syn Piastów – izraelski Dawid,
by mi na czoło Pańskie zeszło pomazanie...

- - Widzisz, matko, trza wielkie odrzwia gdzieś wyłamać,
a okute, a mocne trza rozłamać dźwirze –
ku Jasności. Trza co dzień w dębinowych chramach
pragnąć i czuć, jak pieśń się nam na struny niże.
A chramy trza zbudować samemu. Młodością,
duszą, wiesz, matko – duszą świętą i anielską.
Z niej się buduje ten tęskniony kościół,
z niej, co jest czysta, niewinna jak dziecko –
z niej. Matko moja, oto ci wyznam
budowę mą i tęsknot ci odkrywam wieko
i co się wali na mnie, ten słowiański nawał
i ból. Wiem już, matko, wiem, ty mówisz – nie kończ –
- Nie kończę, matko moja. Ino się przytulę
do wiosennych dni trocha, do wspomnień, do wspomnień,
do twych piersi matczynych, a czule, a czule -
- i żeście znów są bliscy, bliżutcy, koło mnie.

jesień 1939

SYMPHONIE – SCALENIA

1. POEZJA (UCZTA CZARNOLESKA)

Z tęsknot poczęte ziemi, o żywiczne źródło,
nie ma dla ciebie opok, nieprzebitych grani.
Najczystszych, smreczynowych pragnień srebrna urno,

strumieni promienistych, halnych upłazami –

W tobie się świt odbija, rozżarzony Chrystus,
wstający promienistą Hostią w twej monstrancji.
Takieś, jak pośród wierchów poczęty strzelistych
złotolitych zapatrzeń niebosiężny łańcuch.

Dziś modłę się do Ciebie, o Boże Słoneczny!
- Na strzechach mych się pali obficie złotolit –
Oraczy ja kmieć jestem, Piast jestem serdeczny,
miłościwy władyka miodopszennej roli.

O ziemio ty kochana! – oborać, zaszczepić –
: latorośl-żywicielka – szczep żytni, szczep winny –
Idę bruzdą – czepigi śpiewają. Sonety
niosą się het, w zagaje, het, w zaścianek gminny.

Bo wasz jestem, wasz jestem, sercem jestem całym –
Słuchajcie moich pieśni, słuchajcie mej mowy!
Takim wam jest przelewny i takim jest wdały,
i taki sercem szczery, i – karmazynowy.

Pieśń to dziś będzie wasza, pieśń to będzie moja.
Gęźbę wam przy miodowej mam prawić wieczerzy –
Na pąsowe was proszę, dębowe pokoje –
Żeby się te świetlice zdołały poszerzyć!

Miodu wam lać, - bo serce otwarte, jak stągiew –
wam zagadać o sercu najraniej, najprościej –
Wiedźcie! Tam ono bije nieprzerwanym ciągiem,
jak smreczynowe wrótnie, otwarte na oścież,

i jako źródło. Biję. Miłość, Wolność, Piękno –
Bracia! Panowie szlachta! Ono to ci sonet,
to ci liryczny ustęp, a zdziałany ręką
artystowską. Gościnnie. Więc dalej do konew!

Goszczę was miłościwie w rozłożystym dębie,
goszczę was miłościwie, prosto, bez urazy –
Taki jestem, pieśniany władyka – i wszędzie
i zawsze nieodmienny, królewski karmazyn.

Taki jestem. Piast lniany, wyszedłem pod strzechę,
przed ciosane słońcami, dębinowe wrótnie –
zagrodą się poniosło – i szczęściem - i echem,
a potem znów przycichło – i sercem – i smutkiem –

I dopatrzyłem domu. O domu kochany!
W tobiem kadzidło palił, włódkarzu najpierwszy –
i ty jesteś tak czczony pomiędzy Słowiany –

tyś poezją, wieczorem rozigranych świerszczy.

A ja – wierzajcie, bracia – z tych jestem włóдарzy,
co się nosili szumnie, w żupanach, w kontuszach,
i taki płomień w domu, w świetlicy się żarzy,
jako karmazynowa w nich płonęła dusza –

I taki jestem w tańcu. Nie, żebym był z panów
lub żebym się pieczęcią szczycił antenatów –
ale – co ten ich zamach w polonezie – szanuj!
a następuj w wylotach – a skłaniaj się światu –

a taki nieś się wolny jak ten wichor mazur!
O Wolność! Tyś jest w duszy, jak zrab pierworodny,
ty, co śmigasz w smreczynach, w sobótkach się żarzysz –
tyś jest mitem słowiańskim, szlacheckim, urodnym –

O Wolność! Tyś jest takim świętym przywiązaniem
do niebotycznej, sercem tworzonej poezji –
i tyś jako srebrna kurniawa i zamieć
i pełnią, nasyceniem – by szerzej – by szerzej!

i jesteś tym gościnnym, rozłożystym dębem,
w którym goszczę mą bracią, godnie, bez urazy.
Taki jestem – pieśniany władyka – i wszędzie
i zawsze nieodmienny, słowiański karmazyn.

Napełniam sokiem pszczelim ten władczy puchar –
o żupan go rozbryzgam – bożek polnych tęsknot.
Miodu jest w sercu dosyt, jest dosyt, jest upał!
Rozlewać w czary miody – i Piękno – i Piękno!

W ustach mi się rozpływa, buduje się ze słów –
zewrzyjmy się ramiony! bracia jednych pragnień!
jak się zwiera dębowe mych podwoi przęśło.
Zapalcie mi, paziowie, pozłoty i żagwie!

Kochajmy się! – Wiem ci ja, że żagwie jesteście
upojone mym miodem, w ustach się rozpływa,
wiem ci ja, że tęsknicie w jałowcową przestrzeń,
co jest bujna wśród lasów w omrocznych igliwiach –

Ze słów mi się buduje, bo znam treść pucharu:
Słowa, co się w budowę składają i w sonet –
i te wasze tęsknoty, ten słowiański zaród
zamknąłem w zamek jeden, zawarłem za bronę –

Kochajmy się, o bracia! Ja, i wśród was każdy –
czyli to karmazyny, czy żupany mnisze –
ha, przecie był, co miłość miał dla ptasząt gwarznych,

dla słowików – w habicie karmazyn – Franciszek.

Więc, Dionizosie – miodu, serca, komodii!
Myślicie, że to taki ci rozpustny bożek –
He – he – a kto misteriów wrota nam uchylił?
gdzie ród odwiecznych wzruszeń – tragicznych nabożeństw?

Zgadywać ludzkie serca jest dane poetom,
zakuwać słowa w Boży, w Chrystusowy łańcuch –
O Święty! Swój i bliźni ból w poezję przetop
i daj się braciom modlić na cudnym różańcu.

Otoście serca w cegłę wypalone cudną.
Rozżarza was, przetapia ta pieśń w swoim żarze.
Niech się stoły pod pieśnią, pod melodią ugną!
Z serc wytryśnie to źródło, ze słów, z gęźbnych swarzeń.

Taki jestem. Jest serce, co mi się buntuje
przeciw niewoli pieśni i czasom zniszczenia.
O ulep ze mnie, Święty, dzban natchniony ulep!
żebym mógł w strumień zebrać tęsknoty stworzenia.

Wiem, że wiekowi trzeba sprzeciwu i woli,
żeby mógł w dąb rozkwitnąć i w Miłość, i w Wolność,
że mu tych pieśni trzeba, aby ból ukoić,
i pleść wieniec bławatny – melodię ukojną –

I z was jestem, z was jestem ja – Grek i Słowianin.
Nie! Moja pieśń nie kłamie jakichś żądz i tęsknot.
Lecz jam myślą napełnił i wizją zapalił
ciebie – urno źródłana – promienista wnęko.

Chrystus. Czasy ku Niemu wyciągają ręce. –
Ja patrzę w czasy. Widzę, że ON jako symbol
i jako Prawda Istna i Jemu są wieńce,
plecione z moich myśli i z sonet, i z nimbów.

I z Nim znów jestem prawy i piast, i karmazyn. –
Dogasz, Dionizosie, dogasz, godzino
mięsopestu – i z pełnej, miodolitej wazy
toczy się w polonezie wino - wino - wino...

Idę rzucić me suknie delijne, wzorzyste –
w siermięgę grzbiet okutać i w wór wielkopostny -.
Pokutować trza z Tobą, mój Krzyżowy Chryste,
O TY, ziszczenie pragnień – Wolny i Miłosny!

O TY! Renesansowy i gotycki Boże!
Zbawco w naszych ołtarzach – w baroku i w ciszy!
Jest na żupanach naszych zbawicielski wzorzec,

w sonetach naszych modli się święty Franciszek.-

Położę się w te noce, w przedświtowe jutrznie,
krzyżem Ci się położę w popielim wezgłowiu –
bom z tych jest, co świętują czas radosny hucznie,
ale postny krzyżowo, na pokutnych słowach.

Wierzę w Wolność i Miłość. Gruntuje się na nich
rozmach czasów i dzieło, Zbawienie i Chrystus –
i z nich poczęte, ludzkich nie znajduje granic,
lecz w tęcze się przemienia, w promienną wieczystość.

Więc, - żeś jest taka wolna, taka miłująca,
ciebiem najbliżej sądził w Chrystusowe czasy,
gdy przyjdą aureolą tęczową roztrącać
i na opoce twardej nowy wznosić Asyż.-

Ciebie – renesansowa moja! Anielico,
ujrzana w braci moich serdecznym kolisku,
przy sobótkach, a w krasie, a w czerstwości liców,
w delijach i w dziewczęcych belic kręgu – błyskot –

ciebie – kochanko moja! I także samo
rozmiłowałem serce w tej słowiańskiej duszy,
jakby mi bożek jaki miłostrzelny – Amor
bogdaną cudnolicą szranki serca kruszył.

I tako samo, jakom się niegdyś w młodzieńczej
i w jasnowłosej dziewie miłował – Słowiance,
w zorze wchodząc poezji - i warkoczem wieńczył
w rąbki; jak świętych dziewic, w pachnące różańce.

Takoże samo. O ty! O przecudna moja!
- Może to grzech jest wielki w takim miłowaniu, -
a kiedym urzeczony przed widem w podwojach
klęczał – toć może dziewa, a nie światły anioł –

staneła – plesawica, cudowna bugunka –
Młodości! Tyś jako rwący polem czerwiec,
że wielką światłość widzisz w świętojańskich punktach
albo na księżycowym wspierasz głowę sierpnie!

Więc mi wybaczenie grzech ten, że z widem słowiańskim
oczarowawszy młodość, nie spowiadał duszy,
że nie zachodził chyłkiem do pieczar i jaskiń,
ale ogromne Tatry w oczach moich uczył –

o wy, rozważni, wszystko biorący od podstaw!
Jam uwierzył, jam onę umiłował wiarą –
Ona, kochanka biała, taka była prosta

i zorzami w poezji wewiodła mnie parów. –

A w wieczór wielkopostny, z księżycową szybą
i z Nim Krzyżowym jestem w cienie samotni.
Piersią mi łkanie, w piersi żalny kuje dygot,
tak, aż się uszlachetni pierś i ustokrotni.

Niech źródło tryśnie z podłóg! objawiony potok
wśród tej posadzki drogiej, tkanej w alabaster,
niech na Twych stopach krwawych potoczyste złoto
w perły zmieni się śpiewne, w rozmodlony zastęp,

jak w łzy i róże sine. I wtedy bym izbę
mą chciał poszerzyć, me gonty, me ściany –
i przez ugory Twoją ponieść Ojcowiznę,
aby ten głos był wszędy u ludu słyszany:

Kochajmy się! – i bratnia się rozrasta Miłość,
tak jako kwiat od słońca i jako to źródło,
i ogłasza manifest, opromienia siłą,
i ugorem i siłą promienieje cudną:

Słowiańska. I gościnną. Piastowska. I moja.
Jako i ta krzewina źródlistej fontanny,
owo źródło rozrosło, jak wytrysły chojar
śpiewem pieśni Chrystusów – Poezji Zarannej.

- I taki jestem. W uczcie, com się pławił wczoraj,
dzisiaj przed Tobą święte rozmyślam „Kochajmy” –
i chcę w karmazynowy młodość utkać chorał,
i w sonety słowiańskie, i w słowiańskie psalmy.

Kłęczący cień, powstałem w świtu mozaice,
by pobrać te źródlane wytryski w swe ręce
i we struny ociosać, i – natchniony snycerz –
na instrument rozmotam strun ciosanych przędzę,

na waszych i mych tęsknot napięty teorban.
Wywiedźcie mię, paziowie! podwoje otwórzcie!
i niech się ozwie z chórów wszechmogący organ
i błogosławi pieśń mą, niesioną ku uczcie.

Kochajmy się! panowie bracia! I tym słowem
was powitam: źródlanym i wonnym, i moim –
i wylotem otulę pieśń karmazynowym,
by was przy uczcie pieśnią miodolitą spoił –

bo na teorban rzucę spienione wyrazy,
te, co młodzieńczych wizji niesie zawierucha –
i tako was ugoszczę, słowiański karmazyn,

com Miłości, Wolności i Pięknemu zaufa.

A uciszony, pójdę znów z ciebie nacerpać,
z tęsknot poczęta ziemi, o żywiczna wodo!
ty, która zdradzasz czary miesięcznego sierpa
i w smreczynowy wieczór otulasz mą młodość.

[...]

[*] Bierzmy w siebie zupełność! Dawajmy z siebie zupełność! – A na zupełność narodowej duszy, na jej pełnię i Samuel Zborowski się złoży zarówno jak Żółkiewski-Hetman i Bolesławy Śmiały a Szczodry zarówno jak Mieszko i Adam, jak i Juliusz i Stanisław Święty – i Andrzej-Męczennik. – Patrzajmyż tej duszy bogatej, nic jej nie nakładając, żadnych więzów. Ino umiejmy patrzeć.

[*] Gotyk i renesans z osobna wyłączością są. Współ harmonię tworzą. Gotyk ma drogę strzelistą, ale ciasną. Postawmy jaki symbol w pośrodku, niech będzie gotycka katedra. Możemy, w górę od niej idąc, dojść do świętego Franciszka, co taki-ci już strzelisty, że Zbawiciela obejma. Możemy, idąc od niej w dół, w tę niewolniczość popaść, w to ujarzmienie dusz. A tu mnie ponosi bunt. –

Patrzajmy teraz na renesans. Drogę ma raczej wszere, drogę ma rozłożystą (- ile tam smukłości sosen, to tutaj lipy, dęby -). Położmy znowu jaki symbol w pośrodku: choćby sarmackie „Kochajmy się”. Idąc od niego w górę, dojdziemy Miłości wielkiej, nie mniejszej niż Franciszkowa. Idąc drogą w dół, dojdziemy do rozluźnień i zaprzeczeń Harmonii. A teraz zważmy jeszcze: Czy też ów Franciszek, Chrystusa obejmujący, gotycki jeszcze jest? Czy już nie renesansowy? – Tu uchwyciliśmy środek. Bogactwo to wielkie jest. Naprawdę, w tym zespoleniu bogactwo wielkie jest.

Do ludzi, w których bogactwo takie czuję – mówię.

Droga gotycka wzwyż, renesansowa wszere. Drogi się przecinają. Z przecięcia kształt, Zbawienie, Krzyż.

Mówię to, żem chrześcijanin – i żem Polak.

[...]

MAGNIFICAT – HYMN

Uwielbiaj, duszo moja, chwałę Pana twego,
Ojca wielkiej Poezji – tak bardzo dobrego.

On młodość moją rytmem cudnym obwarował,
On pieśń mą na dębowym kowadle ukował.

Rozebrzmij, duszo moja, chwałę Pana twego,

Sprawcy Wiedzy anielskiej – Sprawcy łaskawego.

Oto spełniam po brzegi winogrodu kielich
przy uczcie Twej niebiańskiej – rozmodlony sługa –

wdzięcznością, żeś mi młodość dziwnie rozanielił,
żeś z lipowego pniaka kształt jędrny wystrugał.

Tyś jest najcudowniejszy, wszechmogący Świątkarz –
- pełno jest brzoź na drodze mojej, pełno dębów –
Otom jest niwa wieśnia, podstoneczna grządka,
otom jest młodociana grań tatrzańskich zrębów.

Błogosławię Twój posiew Wschodem i Zachodem –
Obsiewaj, Gospodarzu, niwę Twą sownicę,
Łanem niech będzie żytnim, smreczynowym grodem
młodość rozkolebana tęsknotą i życiem.

Niech Cię uwielbi szczęście – wielka tajemnica,
żeś mi tak pierś rozszerzył pierwotnym śpiewem,
żeś pozwolił w błękitie utonąć mym licom,
żeś na struny me zesłał melodii ulewę,
żeś w melodii tej zjawił się wizją – Chrystusem.
- Popatrz w przód, Słowianinie! – Sobótczane światła!
Nie opadł z liści święty dąb, król twój nie usechł,
ale się stał jak ludu władcyka i kapłan.

Uwielbiaj Pana, duszo, za ciche przeczucie,
za wiosnę rozśpiewaną gotycką tęsknotą,
za młodość gorejącą – puchar winnych uciech,
za jesień smutnym ścierniom podobną i wrzosom.

Za poezję Go uwielb – za radość i boleść!
- Radość władania ziemią, błękitem i złotem,
że się we słowa wciela rozkosz, żar pokoleń,
że zbierasz tę dojrzałość leżącą pokotem.

Ból – to smutek wieczorny tych niewypowiedzeń,
gdy ogarnia nas Piękno falistą ekstazą,
Bóg się ku harfie skłania – lecz na skalnej między
promień się łamie – mocy nie staje wyrazom,

słów nie staje. I jestem jak strącony anioł –
- posąg na kamienisku, marmurze cokołu;
aleś tęsknot tchnął w posąg i w strzelistość ramion,
że się zrywa, że pragnie. – Z tych jestem aniołów.

I jeszcze Cię uwielbię, bo w Tobie jest przystań,
nagroda za pieśń każdą – dzień świętej idei –
i radość, rozśpiewana hymnem macierzyństwa,

słowem spełnienia cichym – Najpełniejszy Eli!

Bądź błogosławion, Ojcze, za smutek anioła,
za walkę pieśni z kłamstwem, bój natchniony duszy –
- i miłość słowa wszelką zniwecz w nas i połam
i kształt, co jako człowiek głupi się napuszył.

Chodzę po Twych gościńcach – słowiański trubadur –
przy sobótkach gram dziwom, pasterzom wśród owiec,
- ale pieśń rozmodloną, pieśń wielką jak padół
rzucam przed tron dębowy Jedynemu Tobie.

Błogosławionaś, pieśni pomiędzy pieśniami!
Błogosławione siejby mej duszy i światła!
Uwielbiaj, duszo moja, Tego, co aksamit
na moje rzucił barki i władczy atlas.

Błogosławiony Świątkarz, Słowianin i prorok –
Bądź mi miłościw – śpiewam, jak natchniony celnik –
Uwielbiaj, duszo moja, pieśnią i pokorą
Pana Twojego, hymnem: Święty, Święty, Święty!

Oto się pieśń jednoczy: Poezji – Poezji!
- ziarno tęskni, jak dusza cierpiąca niedosyt –
- by były me gościńce w cieniu dębów, brzezin,
i były bogumiłe młodzieńcze pokosy.

Słowiańska Księgo tęsknot! U kresu się rozdzwonił,
jak chórów zmartwychwstałych mosiężna muzyka,
pieśnią świętą, dziewiczą, poezją pokłonną
i hymnem człowieczeństwa – Bożym *Magnificat*.

[...]

Pieśń o Bogu ukrytym

I. Wybrzeża pełne ciszy

1.
Dalekie wybrzeża ciszy zaczynają się tuż za progiem

Nie przefruniesz tamtędy jak ptak.
Musisz stanąć i patrzeć coraz głębiej i głębiej,
aż nie zdołasz już odchylić duszy od dna.

Tam już spojrzeń żadna zieleń nie nasyci,
nie powrócą oczy uwięzione.
Myślałeś, że cię życie ukryje przed tamtym Życiem
w głębinie przechylonym.

Z nurtu tego – to wiedz – że nie ma powrotu.
Objęty tajemniczym pięknem wieczności!
Trwać i trwać. Nie przerywać odlotów
cieniom, tylko trwać
coraz jaśniej i prościej.

Tymczasem wciąż ustępujesz przed Kimś, co stamtąd nadchodzi
zamykając za sobą cicho drzwi izdebki maleńkiej –
a idąc krok łagodzi
- i tą ciszą trafia najgłębiej.

2.

To Przyjacieli. Ciągłe wracasz pamięcią
do tego poranka zimą.
Tyle lat już wierzyłeś, wiedziałeś na pewno,
a jednak nie możesz wyjść z podziwu.

Pochylony nad lampą, w snopie światła wysoko związanym,
nie podnosząc swej twarzy, bo po co -
- i już nie wiesz, czy tam, tam daleko widziany,
czy tu w głębi zamkniętych oczu -

Jest tam. A tutaj nie ma nic prócz drżenia,
oprócz słów odszukanych z nicości -
ach, zostaje ci jeszcze cząstka tego zdziwienia,
które będzie całą treścią wieczności.

3.

Póki morze przyjmujesz w swe otwarte źrenice
pod postacią falujących kół,
zdaje ci się, że utną w tobie wszystkie głębie i wszystkie granice –
lecz już stopą dotknąłeś się fali,
a tobie się zdawało:
to Morze we mnie mieszkało
taką ciszę rozlewając wkoło, taki chłód.

Tonąć, tonąć! Przechylić się, potem obsuwać się z wolna,
nie wyczuwać w tym odpływie stopni,
po których zbiega się drząc –

tylko dusza, dusza człowieka zanurzona w maleńkiej kropli,
dusza porwana w prąd.

4.

Nie taki jest żywioł świata.
Kiedy morze cię szybko ukrywa
i roztapia w milczącej głębi
- światło od fal powłóczystych prostopadłe blaski oderwie
i z wolna kończy się morze, a jasność napływa.

A wtedy, zewsząd widoczny, w zwierciadłach dalekich i bliskich
widzisz swój cień.

Jak się ukryjesz w tym Świetle?
Za małoś jest przezroczysty,
a jasność zewsząd tchnie.

Wtedy – patrz w siebie. To Przyjaciel,
który jest jedną iskierką, a całą Światłością.
Ogarniając sobą tę iskrę,
już nie dostrzegasz nic
i nie czujesz, jaką jesteś objęty Miłością.

5.

Miłość mi wszystko wyjaśniła,
miłość wszystko rozwiązała –
dlatego uwielbiam tę Miłość,
gdziekolwiek by przebywała.

A że się stałem równiną dla cichego otwartą przepływu,
w którym nie ma nic z fali huczącej, nie opartej o tęczowe pnie,
ale wiele jest z fali kojącej, która światło w głębinach odkrywa
i tą światłością po liściach nie osrebrzonych tchnie.

Więc w takiej ciszy ukryty ja-liść,
oswobodzony od wiatru,
już się nie troskam o żaden z upadających dni,
gdy wiem, że wszystkie upadną.

6.

Ktoś się długo pochylał nade mną.
Cień nie ciążył na krawędziach brwi.
Jakby światło pełne zieleni,
jakby zieleń, lecz bez odcieni,
zieleń niewysłowiona, oparta na kroplach krwi.

To nachylenie dobre, pełne chłodu zarazem i żaru,
które się we mnie osuwa, a pozostaje nade mną,

choć przemija opodal – lecz wtedy staje się wiarą
i pełnią.

To nachylenie dobre, pełne chłodu zarazem i żaru,
taka milcząca wzajemność.

Zamknięty w takim uścisku – jakby muśnięcie po twarzy,
po którym zapada zdziwienie i cisza, cisza bez słowa,
która nic nie pojmuje, niczego nie równoważy –
w tej ciszy unoszę nad sobą nachylenie Boga.

7.

Pan, gdy się w sercu przyjmie, jest jak kwiat,
spragniony ciepła słonecznego.
Więc przyplęń, o światło, z głębin niepojętego dnia
i oprzyj się na mym brzegu.

Płoń nie za blisko nieba
i nie za daleko.
Zapamiętaj, serce, to spojrzenie,
w którym wieczność cała ciebie czeka.

Schyl się, serce, schyl się, słońce przybrzeżne,
zamglone w głębinach ócz,
nad kwiatem niedosiężnym,
nad jedną z róż.

8.

Co to znaczy, że tyle dostrzegam, gdy nic nie widzę,
kiedy już poza horyzont ostatni osunął się ptak,
kiedy fala w szkle go ukryła – opadłem jeszcze niżej,
zanurzając się razem z ptakiem w nurcie chłodnego szkła.

Im bardziej wzrok natężam, tym widzę mniej,
i woda schylona nad słońcem tym bliższe przynosi odbicie,
im dalszy od słońca oddziela ją cień,
im dalszy cień od słońca oddziela moje życie.

Więc w mroku jest tyle światła,
ile życia w otwartej róży,
ile Boga zstępującego
na brzegi duszy.

9.

Z wolna słowom odbieram blask,
spędzam myśli jak gromadę cieni,
- z wolna wszystko napełniam nicością,

która czeka na dzień stworzenia.

To dlatego, by otworzyć przestrzeń
dla wyciągniętych Twych rąk,
to dlatego, by przybliżyć wieczność,
w którą byś tchnął.

Nie nasycony jednym dniem stworzenia,
coraz większej pożądam nicości,
aby serce nakłonić do tchnienia
Twojej Miłości.

10.

Za tę chwilę pełną śmierci dziwnej,
która w wieczność niezmierną opływa,
za dotknięcie dalekiego żaru,
w którym ogród głęboki omdlewa.

Zmieszały się chwila i wieczność,
kropla morze objęła -
opada cisza słoneczna
w głębinę tego zalewu.

Czyż życie jest falą podziwu, falą wyższą niż śmierć?
Dno ciszy, zatoka zalewu - samotna ludzka pierś.
Stamtąd żeglując w niebo
kiedy wychylisz się z łodzi,
miesza się szczebiot
dziecięcy - i podziw.

11.

Uwielbiam cię, siano wonne, bo nie znajduję w tobie
dumy dojrzałych kłosów.
Uwielbiam cię, siano wonne, któreś tuliło w sobie
Dziecinę bosą.

Uwielbiam cię, drzewo surowe, bo nie znajduję skargi
w twoich opadłych liściach.
Uwielbiam cię, drzewo surowe, boś kryło Jego barki
w krwawych okiściach.

Uwielbiam cię, blade światło pszennego chleba,
w którym wieczność na chwilę zamieszka,
podpływając do naszego brzegu
tajemną ścieżką.

12.

Aż dotąd doszedł Bóg i zatrzymał się krok od nicości,

tak blisko naszych oczu.

Zdawało się sercom otwartym, zdawało się sercom prostym,
że zniknął w cieniu kłosów.

A kiedy uczniowie łaknący łuskali ziarna pszenicy,
jeszcze głębiej zanurzył się w łan.

- Uczcie się, proszę, najmilsi, ode mnie tego ukrycia.
Ja, gdzie ukryłem się, trwam.

Powiedzcie, kłosy wyniosłe, czy wy nie wiecie,
gdzie się zataił?

Gdzie Go szukać? - kłosy, powiedzcie,
gdzie Go szukać w tym urodzaju ?

13.

Bóg spoczywał w sercu i wszechświat,
lecz wszechświat gasł,
z wolna stawał się Rozumu Jego pieśnią,
najniższą z gwiazd.

Opowiadam wam zdziwienie wielkie, helleńscy mistrze:
nie warto czuwać nad bytem, który wymyka się z rąk,
jest Piękno rzeczywistsze,
utajone pod żywą krwią.

Cząstka chleba rzeczywistsza niż wszechświat,
pełniejsza bytu i Słowa

- pieśń jak morze zalewająca
- odmęt słońca
- wygnanie Boga.

14.

Synu, kiedy odejdiesz, wzbierająca głębio odwieczna,
w której wszystko ujrzałem –
Ojcze, Miłość oznacza konieczność
wzbierania chwałą.

Synu, spójrz, niedaleko od Twojej jasności
jest kłosów dojrzałe pęcznienie –
Przyjdzie dzień, gdy odejmą Ci blask,
kiedy jasność Twą wydam ziemi.

Ojcze, spójrz, niedalekie od mojej miłości
jest me spojrzenie,
którym ogarniam odwiecznie
ten dzień wzbierającej zieleni.

Ręce Twoje odejmą z mych ramion –

Synu, widzisz to unicestwienie,
Twój blask, kiedy przyjdzie dzień,
wydam kłosom pęczniejącej ziemi.

Ojcze, ręce odjęte z Twych ramion
spoję z drzewem odartym z zieleni,
bladym światłem pszenicznym nasycę
ten blask, który w kłosy zamienisz.

Synu, kiedy odejdiesz, Miłość odwieczna,
któż ogarnie Cię nurtem najbliższym?

Ojcze, opuszczam Twoje wejrzenie wzbierające zalewem słonecznym,
obieram oczy ludzkie –
obieram oczy ludzkie zalane światłem pszenicznym.

15.

Stać tak przed Tobą i patrzeć tymi oczyma,
w których zbiegają się drogi gwiazd –
O oczy, nieświadome Tego, Kto w was przebywa,
odejmując Sobie i gwiazdom niezmierny blask.

Więc wiedzieć jeszcze mniej, a jeszcze więcej wierzyć.
Powieki powoli zamykać przed światłem pełnym drzeń,
potem wzrokiem odepchnąć przyptyw gwieździstych wybrzeży,
nad którymi zawisa dzień.

Boże bliski, przemień zamknięte oczy
w oczy szeroko otwarte –
i nikły podmuch duszy drgającej w szczelinach róż
otocz ogromnym wiatrem.

16.

Często myślę o tym dniu widzenia,
który pełen będzie zdziwienia
nad tą Prostotą,
z której świat jest ujęty,
w której przebywa nietknięty
aż dotąd
- i dalej niż dotąd.

A wtedy konieczność prosta coraz większą się staje tęsknotą
za owym dniem,
który wszystko obejmie taką niezmierną Prostotą,
miłosnym tchem.

17.

Zabierz mnie, Mistrzu, do Efrem, i pozwól tam z sobą pozostać,
gdzie ciszy dalekie wybrzeża opadają na skrzydłach ptaków,
jak zieleń, jak fala bujna, nie zmacona dotknięciem wiosła,
jak koło szerokie na wodzie, nie spłoszone cieniem przestrchu.

Dzięki, żeś miejsce duszy tak daleko odsunął od zgiełku
i w nim przebywasz przyjaźnie otoczony dziwnym bóstwem,
Niezmierny, ledwo celkę zajmujesz maleńką,
kochasz miejsca bezludne i puste.

Bo jesteś samą Ciszą, wielkim Milczeniem,
uwolnij mnie już od głosu,
a przejmij tylko dreszczem Twojego Istnienia,
dreszczem wiatru w dojrzałych kłosach.

II. Pieśń o słońcu niewyczerpanym

1.
Twój wzrok utkwiony w duszy, jakby słońce skłonione na liściu,
bogaci jego kwitnienie przezroczystą tonią dobroci
i skupia w swoim promieniu
- lecz popatrz, Mistrzu,
cóż stanie się z liściem i słońcem? - wieczór nadchodzi.

2.
Dusza nie jest taka jak liść,
który za słońcem nie podaży
i zgaśnie, kiedy się zieleń w nim wypali –
- to tylko słońce będzie coraz dalej,
coraz dalszą go drogą okrąży.

Nie dość liściu, że co dzień dnieje,
nie dość, że słońce wschodzi.
Śmierć jest tylko zbyt krótkim promieniem
słonecznych godzin.

3.
Dusza nie jest taka jak liść,
Może słońce zatrzymać nad sobą,
uniżając się razem z nim
niedostępnym łukiem od zachodu.

Tam go dosięga i zostaje,
dzieląc słoneczne uniżenie,
a gdy upłynie jeszcze dalej,
jednoczy się z nim długim cieniem –

Ani horyzontów nie łamie,
niepokojna o dalekie dni
- po prostu puka do drzwi.
I oto wszystkiego dosięgła:
oto słońce co dzień przywraca
do swego widnokregu.

4.

Kiedy smutek się zmiesza z wieczorem -
- podobne do siebie są z barw -
razem stają się dziwnym napojem,
który z lękiem nachylam do warg.

Więc, ażeby w tym niepokoju
nie pozostawiać mnie samego,
odjąłeś grozę wieczoru,
dałeś wieczności smak chleba.

Gdy z bezmiaru wyłaniałeś czas
i opierałeś się na przeciwnym brzegu,
usłyszałeś daleki mój płacz,
i od wieków wiedziałeś, dlaczego.

Wiedziałeś, że takiej tęsknoty,
która raz się napiła z Twych ocz,
nie nasycą słoneczne zachwyty,
lecz rozkrwawiają jak brzegi róż.

5.

Jeśli ten kosmos jest gałęzią ciężką od liści,
którą opływa światło słońca,
jeśli spojrzenie jest tonią spokojną,
zaczepniętą na otwartą dłoń -

Więc chociaż liście drżą i opadają,
w niedalekiej głębi odbite,
toń spokojna się ciągle wpatruje
w Ciebie – Ukryty.

6.

Te biedne moje oczy, gdy stwarzałeś,
czerpiąc z toni w otwartą dłoń,
o tym wiecznym spojrzeniu myślałeś,
zachwyconym w niezmierną toń

i mówiłeś:

uniżę się, bracie, uniżę,
nie osamotnię nigdy twoich oczu,
naprzód ukryję się w krzyżu,

potem chlebem w dojrzałym zbożu.

Więc myślę:

dlatego tak się uniżasz,
by nie osamotnić w kosmosie
moich ramion dalekich od krzyża
i mych oczu oddanych tęsknocie.

7.

Jeśli miłość największa w prostocie,
a pragnienie najprostsze w tęsknocie,
więc nie dziw, że pragnął Bóg,
aby najprostszy Go przyjęli,
ci, którzy duszę mają z bieli,
a dla miłości swej nie znają słów.

Sam, gdy nas umiłował,
prostotą nas oczarował,
biedą, biedą i siankiem –
Wtedy Matka Dziecinę brała,
na rękach Go kołysała
i otulała Mu stopy w sukmankę.

O cud, cud, cud!

Kiedy Boga osłaniam człowieczeństwem,
osłonięty od Niego miłością,
osłonięty męczeństwem.

8.

W jednym spojrzeniu dziecięcym
skupionym w łagodnej Hostii
spotkałem się z Ojcem Niebieskim,
który patrzył z niezmierną miłością.

Przed głębią tego spojrzenia,
w którym ujrany był świat,
zadrżały oczy moje
jak odsłonięty kwiat.

Syn mówił: Oto się spełnia
pragnienie naszej miłości,
że oczy ludzkie patrzą
nie odmienione światłością.

O blask! O Stwórcze spojrzenie,
z którego niezmiernie obficie
stworzenie się nowe wyłania,
nowe światy powstają w ukryciu.

9.

O, czuć tę chwilę nicości,
tę chwilę sprzed stworzenia -
i nie odstępować jej nigdy,
jak nie odstępuje się cienia.

Powracać ciągle w ten czas,
gdy utulony tylko Twoją Myślą,
niewinność większą niż dziecko
i głębszą miałem przejrzystość.

Dziś, oszołomiony istnieniem,
zapominam o mojej nicości,
w dalekich się błąkam promieniach,
oderwany od promieni najprostszych.

Lecz jedno spojrzenie w głąb,
które wieczność odsłania z przepływu –
jedno najprostsze spojrzenie,
którym w Myśli znów Twojej przebywam. –

To wtedy – gdy w blasku ukrytym
skupiam siebie całego,
i staję się znów Twoją Myślą,
miłowanym białym żarem Chleba.

10.

Często stamtąd długo na mnie patrzy
spojrzeniami przykuwając mi twarz –
Czy ty wiesz, czy ty wiesz, mój bracie,
jak miłuje nas Ojciec nasz?

Ale głębi owych słów nikt nie zna,
ale przyczyn najdalszych nikt nie wie,
jaka męka to była bezbrzeżna
ta samotność na krzyżowym drzewie.

Lecz nie krew, która w drzewie rozkwitła,
jak rozkwita każdy trud w jutrzejszym chlebie –
tylko to odepchnięcie od Ojca,
to odtrącenie...

Za te słowa: Czemuś mnie opuścił,
Ojcze, Ojcze - za mej Matki płacz -
Ja na wargach Twoich odkupiłem
dwa najprostsze słowa: Ojcze nasz.

11.

Jest we mnie toń przeźroczyta,
dla mych oczu zasnuta mgłą –
kiedy, jak potok, upływam zbyt bystro,

na tak głębokie nie zasługuję dno.

Tam Pan mój co dzień przychodzi i pozostaje –
smuga krwi, gdy zatapia się w śnieg –
- i poznany wzajemnie poznaje
i wzajemną obfitością tchnie.

Gdyby wtedy ktoś toń przeźroczystą
potrafił odsnuć z mgły,
ujrzano by - w jakiej nędzy,
ujrzano by - w kim -

i ujrzano by - jaka światłość
zalewa przyćmioną toń,
ujrzano by - w sercu ludzkim,
najprostszym z słońc.

12.
Jest we mnie kraina przeźroczysta
w blasku jeziora Genezalet -
i łódź... i rybacza przystań,
oparta o ciche fale...

i tłumy, tłumy serc,
zagarnięte przez Jedno Serce,
przez Jedno Serce najprostsze,
przez najłagodniejsze -

- albo znowu - wieczór z Nikodemem,
- albo znowu - nad brzegiem morskim,
dokąd powracam codziennie,
oczarowany Twą pięknnością -
A to wszystko: ten wieczór z Nikodemem,
ta kraina i rybacza przystań,
i toń taka przeźroczysta,
i Postać taka bliska -

a to wszystko przez Punkt jeden Biały
z najczystszej bieli
objęty w sercu człowieczym
krwawym przepływem czerwieni.

13.
Proszę Cię, byś mnie ukrywał
w miejscu niedostępnym,
w nurcie cichego podziwu
lub w nocy posępnej.

Proszę Cię, byś mnie osłaniał
od tej strony, co zapada w mrok –

a proszę Cię, byś mnie odsłaniał
ku tej stronie, co przykuwa wzrok.

- bo wiem o takim ukryciu,
że w nim nic nie rozproszę z tych słońc,
które płoną pod horyzontem
spojrzeń utkwionych w głąb.

A wtedy dokona się cud
przemiany:
oto Ty staniesz się mną –
ja – eucharystyczny.

14.
Proszę, wyjdź, Panie, ode mnie
i myśli mojej omylnej
nie narażaj na taką niemoc,
nie narażaj na taką bezsilność.

- bo nie ma takiej wdzięczności,
aby objęła nieskończoność,
żeby serce objęło Ciebie
słoneczną smugą czerwoną -

- a choćby objęło świat
i choćby rozplonął do szafu,
i choćbym rozdał siebie –
wiem, że nic nie oddałem.

A Ty jeszcze co dzień pomnażasz
moją bezsilność,
poddając Twą nieskończoność
pod moją myśl omylną.

15.
Jakże odwdzięczę morzu, że fale jego ciche
wychodzą, aby szukać moich codziennych zbłąkań?
Jakże odwdzięczę słońcu, że zachód mnie nie odpycha,
że wieczór i poranek niedługa dzieli rozłąką?

Cóż Ci oddam za tę bliskość,
którą w takim rozniecasz bezmiarze,
jak ogniska,
jak serca w równowadze -

Cóż Ci oddam za tę poufałość,
którą w dziecięcym spojrzeniu
nawiązujesz, a kończysz chwałą
nieosmuconą w odcieniu -

Cóż ci oddam za tę bezbronność,
która nie skąpi mi dnia –
przecież Ci, Panie, nie wolno
ufać takiemu jak ja.

Jakże odwdzięczę morzu, że fale jego ciche
wychodzą, aby szukać moich codziennych zbłąkań?
Jakże odwdzięczę słońcu, że zachód mnie nie odpycha,
że wieczór i poranek niedługa dzieli rozłąką?

16.

O Panie, przebac mej myśli, że nie dość jeszcze miłuje,
przebac miłości mej, Panie, że tak strasznie przykuta do myśli,
że chłodnym myślom, jak nurt, Ciebie odejmuje
i nie ogarnia płonącym ogniskiem.

Ale przyjmij, Panie, ten podziw, który się w sercu zrywa,
Jak zrywa się potok w swym źródle -
- znak, że stamtąd przyplynie żar -
i nie odtrącaj, Panie, nawet tego chłodnego podziwu,
który nasycisz kiedyś kamieniem płonącym u warg -

I nie odtrącaj, Panie, mojego podziwu,
który jest niczym dla Ciebie, bo Cały jesteś w Sobie,
ale dla mnie teraz jest wszystkim,
strumieniem, co brzegi rozrywa,
nim oceanom niezmiernym tęsknotę swoją wypowie.

1944

Pieśń o blasku wody

A odpowiadając Jezus rzekł jej: Każdy, kto pije tę wodę, znowu
pragnąć będzie; kto jednak napije się wody, którą ja mu dam, nigdy
nie uczuje pragnienia.

(J 4, 13)

1. NAD STUDNIĄ W SYCHEM

Popatrz – tam łuską srebrzystą nieustannie się woda odrywa,
Oto głębi brzemieniem drży
Jak źrenica czując dno obrazu.
Woda jednak miejsca zmęczone wokół twych oczu przemywa,
Gdy odbiciem szerokich liści dosięga twojej twarzy.
Tak daleko do źródła –

Te oczy znużone to znak,
Że ciemne wody nocy płynęły w słowach modlitwy
(- nieurodzaj, nieurodzaj dusz -)
A teraz światło studni pulsuje głęboko w tych łzach,
Które – pomyślał przechodnie – wycisnął podmuch snu...

A tymczasem –
ta studnia otwiera w tym wzroku tylko migot liści
i huską odbitej zieleni zasnuwa miękko twą twarz
tam – w głębi.

Czy daleko jeszcze do źródła?
Przecież w Tobie drży tylu ludzi
Prześwietlonych blaskiem Twoich słów –
Jak źrenice prześwietła blask wody...

Tych ludzi znużeniem zarazem i światłem znasz.

2. GDY OTWORZYSZ OCZY W GŁĘBI FALI...

Kamienie po świeżym deszczu przejrzyste – lśnią
W stopach nieznacznie uniesione.
Już blisko wieczór. Iluż ludzi przenika w głąb
Drzwi otwieranych z łoskotem –
Iluż topnieje od światła w głębi okien?

Już wieczór. Ściana ludzka co czas jakiś otwiera się twarzą
Przechodnia – potem okiem przenoszą ją światła
Na inne miejsce opodal –

Zwężana, rozszerzana co chwilę. Jednaką.
Wzrok wyrywa się ledwo z jej mroku. Łatwa.

A ja ci powiadam, że to tylko twój wzrok
Dostrzega ludzi tak słabo, kiedy płyną z falą neonu.
Właściwie odsłania ich to, co najbardziej ukryte w nich
I czego żaden nie wypala płomień.

A kiedy przymkniesz oczy, przestrzeń znów staje się pełniejsza
Wprost niepojętych treści – oto ludzi rozsuwa się mrok,
Kołysząc w sobie tę dobroć,
Którą – milcząc – sycisz się z nich wszystkich,
Którą – krzycząc – rozbijasz w proch.

Nie, nie – to nie jesteście wy tylko – a jeśli nawet wy,
Tedy obecność wasza nie tylko trwa, lecz objawia –
Byle oczy otworzyć inaczej,
Otworzyć inaczej niż zwykle
I nie zapomnieć widzenia, którym wówczas wzrok się napawał.

3. SŁOWA NIEWIASTY U STUDNI, KTÓRE WYPOWIEDZIAŁA ODCHODZĄC

Od tej chwili moja niewiedza zamknęła się za mną jak drzwi,
Którymi wszedłeś – poznając to wszystko, czego ja nie wiem –
I milcząc tylu ludzi przeprowadziłeś przeze mnie
I dróg dalekich – i ulic rosnące w ludziach zarzewie.

4. PÓŹNIEJSZE ROZPAMIĘTYWANIE SPOTKANIA

Tak widzieć w sobie nie odważy się nikt z nas. –
On poznawał inaczej. Prawie oczu nie podniósł. Był wielkim zbiorowiskiem
poznania
- jak studnia blaskiem wody wiejąca przez twarz.

Miał zwierciadło... jak studnia... świecące głęboko.
Nie potrzebował wychodzić z siebie ani oczu podnosić, by odgadnąć.
Widział mnie w sobie. Posiadał mnie w sobie.
Przenikał we mnie bez trudu
i wstydem wytryskał we mnie i myślą stłumioną od dawna.
Jakby dotykał rytmu w moich skroniach
i znużenie ogromne dźwigał we mnie nagle...
i pieczołowicie...
Słowa były proste. Szły koło mnie jak owce wabione.
A wewnątrz... zrywały we mnie ptaki drzemiące w gniazdach.
Był cały w moim grzechu i w mej tajemnicy.
Powiedz, to musiało boleć – to musiało ciążyć
(fala myśli opada tak ciężko jak wieko z metalu) –
Milczysz – lecz dzisiaj już wiem, otwarta na zawsze Twym słowem –
Że wtedy nie docieriałam w Tobie właściwych rozmiarów.
Powiedz... dziś miłość chciałaby sobie przywrócić ten ból...
Odebrać go Tobie i w siebie jak taśmę ostrą przewinać...

Za późno, dziś każdy ból, który powraca od Ciebie,
Po drodze odmienia się w miłość.

Jakiż skrót! Jaka dobroć poznania!
A przecież nawet nie podniosłeś oczu –
mówiłeś ze mną tylko tamtymi oczami,
które studni głęboki blask odtworzył.

5. ROZMOWY, KTÓRE PROWADZIŁ W NIEJ ON I LUDZIE ZE ŚCIANY WIECZORU

Tak zdają się mówić ludzie ze ściany wieczoru:

- Nie myśl, że chodzisz sam. Towarzyszy Ci ciągle
takich jak ja – odmienionych Twoim zamyśleniem

w nas... tak, twoim zamyśleniem w nas,
jakby słowa prostym przeszczepieniem,
wiotkiego słowa przeszczepieniem w blask –

takich jak ja,
dźwigniętych w mroku tratowanych gwiazd.

Wśród ludzi ze ściany wieczoru znajduje się owa niewiasta.
Teraz On mówi przez nią do nich:

- Nie chodźcie samotni.
Nigdy, ani na chwilę nie odłącza się od was mój profil,
który w was staje się prawdą, ciągle staje się prawdą
i waszej żywej fali rozdarcie niezmiernie głębokim.

Moja twarz
spieczona waszych dusz pustynią
ciągle zwiewana oddechem zmęczonego snu - -

Dlaczego ze mnie swojego nie wyjmujecie krzyża,
jak ja wyjąłem z was? –
Gdy płonął w waszych ramionach i zwiślał w ciężkim tchu –

Oni:

kiedy w smutnej ścianie wieczoru odnajdujesz nasze twarze
oślizgłe jak kadłub ryby od światła tylu lamp –
mamy krew, mamy krew
i krwią możemy uderzyć!

On:

Przyszedłem przeważać krwią.
Przyszedłem szukać znużenia – podobny wam.

6. SAMARYTANKA

Owa studnia złączyła mnie z Tobą,
owa studnia wprowadziła mnie w Ciebie.
Nie było wśród nas nikogo, tylko jej blask głęboki
drżący jak czysta źrenica w orbitach kamieni –

ona mnie w oczy twoje przeniosła
i w nich zamknęła.

7. ROZWAŻANIA PONOWNE

Wtedy to ja – to ja, przytomna mojemu ocknieniu,
jak człowiek w przejrzystym nurcie przytomny własnemu odbiciu
- nagle dźwignięty z zwierciadła i przeniesiony w siebie
oddech tamuje zdumiony, nad światłem się własnym kołysząc.

Jak zostałam dźwignięta – nie wiem. Choć byłam przytomna
sobie – przedtem – i potem – sobie...
rozgraniczona – czyżby tylko przebudzeniem?
i prostym otwarciem ściany, przez którą chodziłam dotąd,
nie wiedząc, że mnie dzieli ode mnie samej
- i nie tylko ode mnie.

O, jakże zostałam dźwignięta. Choć wszystko jest jak dawniej:
Z tamtego wzgórze muły zsuwają się jak co dzień juczne.
Świat się podnosi i miarowo opada w blask domów
Niesionych błękitem powietrza – (na próżno, na próżno) –
Znów lamp palonych w pośrodku oczekiwanych gwiazd –

*

Ten ciężar, który ze mnie wyjąłeś – ja rozpoznam dopiero powoli
miarą własnego znużenia wśród tylu, tylu walk,
gdy zechcę wydobyć ze siebie jakąś cząstkę tej prostej harmonii,
Którą Ty masz bez trudu – i bez miar.

Popatrz – a we mnie nie bez trudu ją miałeś
- tę cząstkę. Przecież wiem, że nie zawisło w próżni
to brzemię, które ze mnie wyjąłeś –
którego żadna z wag nie odważy – i nie odróżni.

Więc nie-odróżnionym ważę – i nie-odróżnionym znów jestem lekka.
Tak lekkim staje się płomień uniesiony z zeschniętego drzewa
łukiem świetlanym,
który wokół siebie podważa nocy rozległe wieko.

8. PIEŚŃ O BLASKU WODY

A w samej głębi, z której przyszłam zaczerpnąć
Tylko wody dzbanem - - tak już dawno do źrenic
Przywiera ten blask... tyle, tyle poznania
Znalazłam – ileż więcej niż dotąd!
Znalazłam w odbiciu tej studni tyle pustej w sobie przestrzeni.

O jak dobrze! Nie zdołam Cię całego przenieść w siebie –
ale pragnę, byś pozostał jak w zwierciadle studni
zostają liście i kwiaty z wysoka zdjęte
spojrzeniem zdumionych oczu
- oczu bardziej prześwieconych niż smutnych.

[1950]

Matka

I

1. PIERWSZA CHWILA UWIELBIONEGO CIAŁA

Miejsce moje upływa w pamięci. Nie przemija
cisza dalekich uliczek zatrzymana w przestrzeni jak szkło,
które w źrenicach czystych rozpadało się w światło i szafir –
Najbliżej są słowa dziecka, na których ta cisza się wzbija
„mamo – mamo”.

I znowu na dno tych samych uliczek niewidzialnym osuwa się ptakiem.

Długo tam powracałam do wspomnień, bo od każdego z nich
nieustannie rozszerza się życie, wzbiera w głębi niesłychaną treścią.
Tak równo przystaje do myśli i uczuć –
jakby waga w tętnicach krwi
nie zakłócała ciszy –
tylko równo wespół z oddechem wychylała się myślą i pieśnią.

To jest chyba modlitwa, mój Synu, to są dni proste,
które przebrały swą miarę i powoli zaczynają napływać
w źrenice moich oczu – i w krew,
która od nich się swego ciężaru wyzbywa.

To są dni proste, mój Synu – uniesione z tamtych uliczek,
na których stoi cisza odsłaniając dziecięcy twój głos –

jakże inaczej teraz słowa twoje z oddali słyszę,
niegdyś szeptane wargami –
a teraz sama myślą, wniesione do mej duszy
i mówione tak bardzo wprost.

2. SŁOWA, KTÓRE ROZRATAJĄ SIĘ WE MNIE

Myśli nagle się odrywają od słów mówionych na głos,
od twarzy, na które cień pada z wysokich ścian.
Dźwiga się poziom ludzi, którzy nie dawniej jak wczoraj
wiedli ciche rozmowy –
w nich brzmiało echo dalekich i tylu bliskich zmian.

Mnie wyłączyła z tych rozmów pierwsza chwila zdumienia,
która świadczyła o Tobie – o Synu mojej miłości!
Ta chwila się dotąd pogłębia,
całe życie w nią się przemienia –
i pęka w oczach gasnących jak w kropli czystego wosku.

Ta chwila całego życia raz doświadczona w słowie,
a dokąd mym ciałem się stała, karmiona we mnie krwią
i w uniesieniu noszona –
w moim sercu wzbierała cicho jak Nowy Człowiek,
gdy trwało zdumienie myśli i praca codzienna rąk.

Ta chwila u swego szczytu jest znów tak samo świeża,
bo znów znajduje Ciebie – nie ma tylko tej kropli u rzęs,
w której promienie oczu topniały na chłodnym powietrzu
- ale za to znużenie ogromne już znalazło swe światło i sens.

3. ZDUMIENIE NAD JEDNORODZONYM

Owo światło przebijało z wolna poprzez zdarzenia codzienne,
do których przywykają od dziecka oczy i dłonie niewieście –
lecz z wolna w tych samych zdarzeniach taki blask się odsłonił niezmierny,
że dłonie się same związały, kiedy słowa zgubiły swą przestrzeń.

Mój Synu – w tamtej mieścinie, gdzie ludzie znali nas razem,
mówiłeś do mnie „matko” – i nikt nie przejrzał w głąb
mijanych dnia każdego zdumiewających zdarzeń
- a życie twoje się złało z życiem ludzi ubogich,
do których chciałeś należeć przez ciężką pracę rąk.

Lecz ja wiedziałam, że światło, które snuje się w owych zdarzeniach
jak włókno iskry głębokie pod korą dni
jest Tobą.
Nie było ono ze mnie –

a ileż więcej miałam Ciebie w tym blasku i w tym milczeniu,
niż miałam Ciebie z owocu ciała mojego i krwi.

4. SKUPIENIE DOJRZAŁE

Są takie chwile u matek, gdy tajemnicę człowieka
odsłania im w źrenicach pierwszy głęboki błysk
jakby dotknięcie serca za cienką falą wzroku –
pamiętam błyski takie, które minęły bez echa,
a we mnie miejsca starczyło na prostą zaledwie myśl.
Synu mój trudny i wielki, Synu mój prosty,
przywykleś we mnie na pewno do myśli wszystkich ludzi –
w cieniu tych myśli czekasz głębokiej chwili serca,
która się w każdym człowieku inaczej zaczyna
- a we mnie jest pełna matki –
i pełnią tą nigdy się nie utrudzi.

Ty zaś taką chwilą objęty już nie zaznajesz zmian
i w taką wciągasz prostotę to wszystko, co we mnie zostało,

że jeśli matki w oczach swych dzieci błysk serca rozpoznają,
to ja w Twojej Tajemnicy cała skupiona trwam.

II

1. PROŚBA JANA

Fali serca, gdy cicho wzbiera za spojrzaniem,
nie obniżaj – o Matko – ani odmieniam miłości,
ale w dłoniach przejrzystych tę samą falę przenieś
na mnie.

On Ciebie o to prosił.

Ja jestem rybak Jan. Tak mało jest we mnie
do kochania.
Jeszcze czuję: u brzegu jeziora – pod stopami drobniutki żwir –
i nagle – On.

We mnie już tajemnicy Jego nie obejmiesz,
choć w myślach Twych snuł się będę łagodnie jak mirt.

A jednak skoro On chciał, abym mówił do Ciebie „Matko” –
proszę, niechaj w tym słowie nic się dla Ciebie nie zmniejsza.
To prawda, że niełatwo zmierzyć głębokość słów,
których znaczenie całe On w nas oboje natchnął,
by w nich się utaiła cała miłość dawniejsza.

2. PRZESTRZEŃ, KTÓRA W TOBIE ZOSTAŁA...

W przestrzeń Twojego Syna, pierwszego Syna Twojego,
powracam często. Wówczas myśli biorą Jego kształt,
ale oczy zostają puste –
na wargi słowa wracają te same,
którymi On się okrył, gdy z nami pozostać chciał.

Gdy więc te same słowa przestrzeń Jego ogarną
bardziej niż wzrok,
niż pamięć i serce – o Matko – znowu Go możesz mieć –
Pochyl się ze mną – i przyjmij.
Smak chleba ma Twój Syn –
a prócz tego smaku ma ciągle niewysłowioną treść.

I oto – przestrzeń Jego bardziej niż w szepcie mych warg,
bardziej niż w myślach, we wzroku, w pamięci –
czy także bardziej niż w chlebie? –
zapamiętana jest w Twoich ramionach, przytulona główką do Twych bark,
bo przestrzeń ta w Tobie została, bo ona wzięta jest z Ciebie.

I nigdy pustką nie świeci. Tak bardzo zaś w Tobie jest,
że gdy już w drżących łamałem chleb,
by podać Matce –
stanąłem na chwilę zdumiony,
bo całą tę prawdę ujrzałem przez jedną w Twych oczach łzę.

III

1. OTWARCIE PIEŚNI

Nie znałam siebie taką, jaką odnalazłam się w pieśni.
chodziłam pośród ludzi nie odłączając ich trosk
od moich uczynków prostych, od myśli moich niewieścich
mówionych zawsze na głos.

A kiedy pieśń wybuchła i mnie objęła jak dzwon,
widziałam wówczas, że słowa Ciebie wynoszą z ukrycia
jak światło w myśli wtopione głąb –
A kiedy znów pieśń ustanie, będziesz lepiej myśli moje słyszał.

I długie upłyną dni wśród tylu różnych ludzi,
w których nawiedzać Cię będzie krwi mojej równy rytm.
A innej pieśni Ci nie dam. Ta zaś nim do mnie powróci,
obje się echem głębokim o cały byt

- aby z powrotem się skupić w cichym szepcie mych warg,
na których zostaje najdłużej – i najprościej trwa.

2. OBJĘTA NOWYM CZASEM

Widziana jestem do głębi, przejrzana jestem łaskawie –
jakże wzbieram od tego widzenia i jak się w nim cicho zanurzam,
choć przez długi czas nikt o tym nie wiedział,
bowiem o Twoim wzroku nie mówiłam niczego ludziom.

Przecież skupienie Twoje nie ustanie we mnie nigdy –
ja tylko wzbiorę ku niemu i kiedyś tak się z nim zżyję,
że stanę w nim cicho jak rzeka uniesiona przezroczystym dnem
- choć ciało moje zostanie.

I przyjdą uczniowie Twoi – i usłyszą, że serce nie bije.

Moje życie przestanie zależeć od wagi głęboko we krwi
i od znużenia mych stóp już nie będzie odsuwać się droga –
Pochłonie mnie nowy czas, który w oczach gasnących już łśni,
a będzie mieszkał z mym sercem –
i wszystko się wreszcie nasyci, i myślom zostanie na powab.

A wówczas otworzę mą pieśń i pojmem z niej każdą głoskę,
otworzę wówczas mą pieśń skupiona nad całym Twym życiem
do głębi przejęta Zdarzeniem ogromnie jasnym i prostym,
które się w każdym człowieku poczyna jawnie i skrycie
- a we mnie stało się ciałem i okazało się w pieśni
i doszło do wielu ludzi, w których znalazło swą przestrzeń.

[1950]

Myśl jest przestrzenią dziwną

... i przeprowił się przez bród Jaboku... a oto mąż zmagął się z nim
aż do zarania... I nazwał Jakub imię onego miejsca Fanuel, mówiąc:
„Widziałem Boga twarzą w twarz...”.

(Z Księgi Rodzaju 32)

I

1. OPÓR STAWIANY WYRAZOM PRZEZ MYŚLI

Bywa nieraz, że w ciągu rozmowy stajemy w obliczu prawd,
dla których brakuje nam słów, brakuje gestu i znaku –
bo równocześnie czujemy: żadne słowo, gest ani znak –
nie uniesie całego obrazu,
w który wejść musimy samotni, by się zmagać podobnie jak Jakub.
Lecz nie tylko zmaganie z obrazem, który trzeba dźwigać w swoich myślach,
z podobieństwem tych wszystkich przedmiotów, z których człowiek
wewnętrznie się składa,
czyń nasze czyż zdołają ogarnąć, i to ogarnąć aż do dna,
te wszystkie głębokie prawdy, nad którymi myśleć nam wypada?

2. DAWNA ROZMOWA, Z KTÓREJ TERAZ NIEKTÓRE ZDANIA

ZAPAMIĘTANE WYRYWAM

Omińmy to wszystko w człowieku –

- Lecz ominąć to nie najłatwiej:

Kiedy oczy zamieni z nim ów dziwny głęboki świat,
gdy pod palcami drży jego zmęczone tętno,
czyż wszystko to razem dal ciebie naocznym nie staje się świadkiem,
że w jego kroku znużonym ulice mijają zbyt prędko?

A przecież ma on w ulicach swój własny rytm,
który go wciąż osacza i z prac najgłębszych wywabia,

który go na pół odsłania, a na pół w mroku zostawia –
- nie mów, że wciąż go odsuwa jak linia horyzontu
Od własnej jego wielkości zamkniętej cieśniną dni.
Ten rytm w nim wszystko ogarnia jakby najszerszy kontur
i nie zdołasz mu go odebrać. Tak bardzo w nim tkwi.
Rozmowa nasza trwa wśród coraz większych cierpień.
Gdy mówisz, że cierpi się zawsze dla zasadniczych przemian,
że człowiek wreszcie się zbudzi w głębi najcięższych swych prac –
- o jakże wiele masz racji, o jakże ogromnie wiele!
lecz sądzę, że człowiek najbardziej cierpi z braku „widzenia”.

3. OPÓR STAWIANY MYŚŁOM PRZEZ WYRAZY

Jeśli cierpi z braku widzenia – to przedzierać się musi przez znaki
do tego, co ciąży w głębi, co jak owoc dojrzewa w słowie.
Czyż to ma być właśnie ów ciężar, który poczuł na sobie Jakub,
gdy opadły w nim gwiazdy znużone jak oczy jego owiec?

II

JAKUB

Jakub odchodził z wolna, znał bowiem siłę wody
i wątle golenie swych owiec, które z daleka wiódł.
Na próżno w strumieniu, nad którym stanęli on i trzody,
szukał jakiegoś miejsca, które by przejść mogli w bród.

A był to Jakub pasterz, który wśród potęg ziemi
nie czuł się nigdy obco. Tak w nich po prostu tkwił,
że masyw milczącej wiedzy wyrastał w nim bez natchnienia
i bywał myśłom przytomny, choć brakowało słów.

I nagle, gdy noc już zupełna stopniowo zgasiła oczy
owiec, a potem wielbłądów, a potem dzieci i żon,
Jakub z masywem swej wiedzy pozostał zupełnie samotny,
lecz czuł, że ktoś go ogarnia i że nie ruszy się stąd.

I ktoś – ten sam – tak samo otworzył jego świadomość do dna,
tak samo, a jednak inaczej niż dziecko, niż owca czy sprzęt;
jednakże tamtych nie zmiażdżył, nie zepchnął, tylko objął,
tak że wszystkie z Nim z lekka drżały, odsłaniając swój wewnętrzny lęk.

I Jakub drżał w Nim również, bo nigdy rzeczywistość
nie rozstała się przed nim tak nagle,
więc zgął się pod jej ciężarem – i przez to ułatwił myśłom,
że mogły uchwycić w tym wszystkim najprostszą równowagę.

III

1. PRZESTRZEŃ POTRZEBNA KROPLOM WIOSENNEGO DESZCZU

Zatrzymaj przez chwilę wzrok na kroplach świeżego deszczu:
oto w nich skupia swój blask cała zieleń wiosennych liści,
tak że wszystkie prawie ciężą w kroplach, w granicach się własnych
nie mieszczą –
a choć oczy twe pełne zdumienia,
nie możesz, naprawdę nie możesz do dna otworzyć swej myśli.

Na pewno ją będziesz uciszał jak dziecię zbudzone ze snu:
nie oddzielaj się od blasku przedmiotów, droga moja, pozostań
W zdumieniu!

Próżne słowa! Czyż nie czujesz? To przez nią właśnie jesteś
tak głęboko w światłości rzeczy,
że musisz w sobie szukać coraz głębszej dla nich przestrzeni.

2. BŁĄD

Czyż można odjąć myślom ich równe, ciche dno?
- Mogę pochylać ulicę ku jednej stronie jezdni,
we wzroku idących dziewcząt i chłopców odkrywać błąd,
bo gdy szeregi aut zbiegają,
to chyba tylko w ich szybach zasklepia się jakiś bezmiar.

A oni mówią:
- myśl nasza się związała z jasnością przedmiotów,
myśl nasza wierną została potędze zwyczajnych rzeczy,
a jeśli tyle z nich nie otwarło się przed nami dotąd,
to znaczy, że nasza myśl nie zakończyła się jeszcze.

3. CIĘŻAR WŁAŚCIWY

Te słowa wstrząsną każdym. Bo zakończenie myśli
znaczy, że ma się ona wyczerpać w przedmiotach i zgasnąć
jak oko,
które jasnym swym rdzeniem nasycą rzeczywistość
i przeobraża –
choć nie uwalnia jej nigdy od drgań ludzkiego czasu.

Lecz gdy ona całym swym ciężarem pochyli się na mnie i runie,
to wówczas napełnia się myślą i obsuwa się na dno człowieka,
po którym rzadko stąпам, którego właściwie nie umiem,
choć wiem,
że już dalej rozpaść się nie mogę,
bo widzenie i Przedmiot zupełny taką właśnie posiadają przepaść.

Rzadko nawet o tym rozmawiam, lecz ciągle z tego wnioskuje

o ciężarze właściwym świata i o własnej głębi mojej.

IV

DLA TOWARZYSZÓW DROGI

1.

Jeśli szukasz owego miejsca, na którym zmagał się Jakub,
nie wędruj do krain Arabii, nie szukaj na mapach potoku,
bowiem znajdziesz o wiele bliżej ich ślad.
Pozwól tylko: w perspektywie myśli niech zjawiają się światła przedmiotów,
coraz ściślej związane myślą i w coraz prostszy kształt.
Wówczas obraz się nie rozprasza, lecz ciąży. I na to bądź gotów,
że masz w sobie ten obraz udźwignąć, że się cały zamieniasz w tę treść,
której sprzyja cisza i samotność,
samotność możliwa w człowieku,
możliwa dlatego, bo od niej nie odrywa nikogo śmierć.

2.

Jeżeli zaś nasze dni wypełniają uczynki zwyczajne,
w których ciągle samo wewnątrz c z y n u nieodstępny przesłania gest,
to jednak żywimy tę pewność, że kiedyś gest ów odpadnie,
a zostanie w uczynkach naszych tylko to, co naprawdę jest.

[1952]

Kamieniolom

I. TWORZYWO

1.

Słuchaj, kiedy stuk młotów miarowy i tak bardzo swój
przenoszę wewnątrz ludzi, by zbadać siłę uderzeń –
słuchaj, prąd elektryczny kamienistą rozcina rzekę –
a we mnie narasta myśl, narasta dzień po dniu,
że cała wielkość tej pracy znajduje się wewnątrz człowieka.

Twarda, pęknięta dłoń inaczej młotem wzbiera,
inaczej się rozwiązuje w kamieniu ludzka myśl –
kiedy energie ludzkie oddzielisz od sił kamienia
i przetniesz w właściwym miejscu – tętnice pełną krwi.

O, popatrz, jak można miłować w takim gruntownym gniewie,
który wpada w oddechy ludzi jak rzeka od wiatru pochyła,
i nie dochodzi do głosu, tylko struny wysokie zerwie –
przechodnie pierzchają do bram –
ktoś głosem ściszym powiedział: to jednak jest wielka siła.

Nie lękaj się. Sprawy ludzkie szerokie mają brzegi.
Nie wolno ich w ciasnym łożysku więzić nazbyt długo.
Nie lękaj się. Sprawy ludzkie stoją od wieków
w Tym, na którego patrzysz poprzez młotów miarowy stukot.

2.

Związane są bloki kamienia przewodem niskiego prądu,
który wcina się w nie tak głęboko jak niewidzialny bicz
- kamienie znają ten gwałt,
kiedy dojrzałą spoistość nieuchwytny rozpruwa podmuch,
który odrywa je z nagłą od ich wieczystej prostoty
- kamienie znają ten gwałt.
Jednak nie prąd elektryczny rozwiązuje w całości ich moc,
ale ten, co ją nosi w swych dłoniach:
robotnik.

3.

Dłonie są krajobrazem serca. Dłonie pękają nieraz
jak wąwozy, którymi się toczy nieokreślony żywioł.
Te same dłonie, które człowiek wówczas dopiero otwiera,
gdy nasycone są trudem –
i widzi, że przez niego jednego inni ludzie spokojni już idą.

Dłonie są krajobrazem. Gdy pękną, to wtedy w ranach
wzbiera fizyczny ból, rwący swobodnie jak strumień.
Ale człowiek nie myśli o bólu.
Ból sam jeszcze nie jest wielkością,
a swej właściwej wielkości on po prostu nazwać nie umie.

4.

Przecież nie tylko ręce opadają ciężarem młota,
nie tylko wzbiera tors i mięśnie kształtują swój styl –
ale przez pracę jego myśli głębokie wiodą,
by się wiązać zmarszczkami na czole,
by się wiązać wysoko nad głową ostrym łukiem ramion i żył.

Gdy więc tak się na chwilę przemieni w przekrój gotyckiej budowli,
który przenika zrodzony z jego myśli i oczu pion –
to nie jest tylko profil!
to nie jest tylko postać między kamieniem a Bogiem

skazana na wielkość i błąd!

II. NATCHNIENIE

1.

Praca zaczęła się wewnątrz, a na zewnątrz ma tyle przestrzeni,
że dłonie ogarnia natychmiast i dosięga do granic oddechu.
Oto spójrz: wola trafiła w kamień głęboki dzwon.
Kiedy myśl uzyskuje swą pewność,
wówczas razem dosięgły szczytu serce i dłoń.

Za ten pion, za tę pewność umysłu, za pewność oka
płaci się ręka szczodra.
Wydaje ci kamień swą moc, a przez pracę dojrzewa człowiek,
ona bowiem niesie natchnienie trudnego dobra.

I od niej się to zaczyna, co narasta w sercu i myślach,
co tyle ważnych wydarzeń i ludzi tylu osacza
- jakaż miłość dojrzewa w młotach!
Grupki dzieci poniosą ją w przyszłość,
Śpiewając: „w sercach ojców bezgraniczna spełniała się praca”.

2.

To natchnienie w dłoniach nie zostaje. Do kamienistych rdzeni
zstępuje przez serce człowieka, które tworzy osobny rdzeń.
I od niego rozrasta się w ziemi historia kamieni,
a w ludziach ta równowaga, którą miłość osiąga przez gniew.

One obie prowadzą człowieka, nie wyczerpią się w ludziach nigdy,
nie ustaną w napięciu ramion ani w serca ukrytym geście –
a biorą się z siebie wzajemnie, dopełniają się taką dźwignią,
która myśli i ruchy zespala w nierozzerwalny pierścień.

Więc jeśli chcesz trafić z daleka i wejść, i w ludziach pozostać,
to musisz obie te siły skupić mową nad wyraz prostą
(mowa twoja nie może prysnąć w napięciach owej dźwigni,
którą tworzą miłość i gniew).
Wówczas nikt Cię nie wydrze z człowieka, nie oderwie od niego nigdy.

III. UCZESTNICTWO

Oto światło surowej deski niedawno wyjęte z pnia
upływa w twoją dłoń ogromem wszelkiej pracy.

A całe tej dłoni napięcie o taki opiera się Akt,
że wszystko przenika w człowieku i wszystko gładzi.

Człowiek ma oczy zmęczone i ostre brwi.
Kamienie mają krawędzie ostre jak noże,
Prąd elektryczny tnie ściany jak niewidzialny bicz,
Słońce, lipcowe słońce. W kamieniach biały pożar.

Czyż ręce moje należą do świata, co blaskiem przecina
tory kolejki, kilofy i w górze nad nami płot?
Moje ręce należą do serca, a serce nie przeklina –
(oddalaj serce od ust, gdy usta prostacko klną!).

Znam was, wspaniali ludzie, ludzie bez manier i form.
Umiem patrzeć w serce człowieka bez obsłon i bez pozorów.
Czyjeś ręce należą do pracy, czyjeś ręce należą do krzyża.
W górze nad wami płot – tam kilofy rozrzucone na torach.

Są puste miejsca w kamieniach – nie trafiaj na takie miejsca!
Filary podcięte prądem zsypują się w dół jak do naczyń.
Młodzi szukają drogi. Wprost w moje serce
uderza droga wszystkich. Czyż kamień przebacza?

Słuchaj, gdyby świat stanął w tej równowadze rąk,
którą przez każdy wybuch kamienia i człowieka
rozpościerasz niezmiennie nad płotem, o kilka kroków stąd
- tamtędy czasem dziecko nieostrożnie przebiega.

Lecz równowaga ta, którą samotnie trzymasz,
wydaje się równocześnie za blisko i za daleko.
Trzeba się nagiąć zarazem i zarazem trzeba się wspiać.
(Dziecko jest nieostrożne i łatwo tamtędy przebiega).

I znów zostaje milczenie między sercem, kamieniem i drzewem.
Każdy w nie może wejść. Jeśli wszedł, pozostanie sobą.
Jeśli nie wszedł, to mimo pozorów, we wszystkich sprawach ziemi
nie uczestniczy dotąd.

IV

(Pamięci towarzysza pracy)

1.
Nie był sam. Mięśnie jego wrastały w ogromny tłum,
dopóki dźwigały młot i pulsowały energią –
lecz trwało to wszystko tak długo, dokąd czuł pod stopami grunt,
dokąd kamień nie zmiażdżył mu skroni
i nie przeciął komór serca.

2.

Wzięli ciało, szli milczącym szeregiem.

3.

Trud jeszcze zstępował od niego i jakaś krzywda.
Mieli bluzy szare, buty wyżej kostek w błocie.
Ujawniali właśnie to wszystko,
co wśród ludzi powinno się skończyć.

4.

Czas jego stanął gwałtownie. W zegarach niskiego prądu
zerwały się nagle wskazówki i spadły z powrotem do zera.
Przeniknął go biały kamień, w istotę jego się wżarł
i przejął ją wreszcie na tyle, że stała się sama kamieniem.

5.

Któż z niej odwali kamień? Kto myśli na nowo rozpostrze
w skroniach głęboko pękniętych – tak pęka na ścianie tynk.
Złożyli go milcząc plecami na płachcie żwiru.
Przyszła znękana żona i wrócił ze szkoły syn.

6.

Czy dotąd? Czy jego gniew ma się tylko na innych przelać?
Czy nie dojrzywał w nim samym własną miłością i prawdą?
Czyż mają go jak tworzywo zużyć pokolenia
i wyzuć z treści najgłębszej, jedynej i własnej?

7.

I znowu ruszyły kamienie. Wagonik ginie w kwiatach.
I znowu prąd elektryczny ściany głęboko tnie.
Lecz człowiek zabrał z sobą wewnętrzną strukturę świata,
w której miłość tym wyżej buchnie, im większy nasycy ją gniew.

1956

Profile Cyrenejczyka

... i przymusili przechodzącego niejakiego Szymona Cyrenejczyka, idącego z pola, ojca Aleksandra i Rufa, aby niósł krzyż jego...

(Mk 15, 21)

CZĘŚĆ I

ZANIM JESZCZE POTRAFIŁEM ROZRÓŻNIĆ WIELE PROFILÓW

1.

Profil wśród drzew. Inaczej: profil wśród kolumn.
Inaczej: profil wtopiony w taflę mokrego bruku.
Inaczej: profil człowieka we drzwiach własnego domu.
Inaczej jeszcze zwycięzca: w profitu grecki półbóg.

Jest profil Cyrenejczyka, który najlepiej znam,
najwszechstronniej.

Zaczyna się zawsze przy drugim Człowieku,
od bark opada,
by urwać się właśnie tam,
gdzie ów Człowiek najbardziej jest sobą
i najmniej bezbronny -

(bezbronny byłby wówczas, gdyby to, co w nim i z niego,
nie tworzyło żadnego pionu, ale uległo).

O takim więc profilu i o tamtym drugim Człowieku
nieustannie mówi mi życie.
(Wówczas profil przechodzi w przekrój).

2.

Stopy szukają w trawie - jest ziemia.
Owady drążą zielen i słońca kołyszają strumień.

Stopy ścierają bruk, bruk ściera stopy na przemian.
Nie ma patosu. Jest myśl nie domówiona w tym tłumie.

Weź myśl - jeśli potrafisz - weź myśl, pozakorzeniaj
w palcach rękodzielników albo też w palcach kobiet
piszących na maszynie po osiem godzin codziennie
czarne litery nawisłe u zaczerwienionych powiek.

Weź myśl i dokończ człowieka
lub też mu pozwól rozpocząć siebie samego na nowo
lub też inaczej: niech on Ci tylko pomaga,
a Ty go prowadź.

3.
Dlaczego nie jest tak? Magdaleno, Szymonie z Cyreny?
Czy pamiętasz ów pierwszy krok, którym dotąd idziesz bez przerwy?

4.
Falują trawy jak hamak, kołyska zwiewnych pszczoł.
Kamienne płyty stoją - prostopadły rozdziela je promień.

Idź lepiej falą! Idź falą i nie rań stóp -
fala ogarnie cię tak, że nie poczujesz, jak toniesz.

5.
Wtedy jednak nadejdzie On i swoje własne jarzmo
przeniesie na twoje barki. Poczujesz, ockniesz się, zadrżysz.

CZEŚĆ II

TERAZ JUŻ ZACZYNAM ROZRÓŻNIAĆ POSZCZEGÓLNE PROFILE

1. MELANCHOLIK

Nie chciałem wziąć. Zbyt długo we mnie waży się ból,
zrazu przyjęty dość słabo -
waży się w wyobraźni i toczy z wolna jak mól,
jak rdza zużywa żelazo.

Ach, wypłynąć z nurtu ukrytego i przejść poza bólu przedsmak!
Jest życie, proste i wielkie - jego głębia nie kończy się we mnie.
Rzeczywistość bardziej jest wspaniała niżli bolesna.
Zrównoważyć to wszystko nareszcie gestem dojrzałym i pewnym!

Nie wracać po tyle razy, lecz iść i dźwigać po prostu
w równym odstępnie godzin tę całą subtelną strukturę,
która w granicach mózgu tak łatwo przemienia się w rozstrój,

a sama w sobie zmęczeniem jest bardziej niż bólem.

I może bardziej być z Nim niż z sobą tylko,
bardziej być z Nim -
odsunąć grozę spraw na tyle,
by wystarczał zwyczajny czyn.

2. SCHIZOTYMIK

Są takie chwile głuche, chwile beznadziejne
- czy wydobędę jeszcze z siebie myśl, czy z serca ciepło wykrzeszę?

Nie zrywaj wówczas ze mną, gniewem moim wtedy się nie przejmuj.
To nie jest gniew, to nic - to tylko puste wybrzeże.

Lecz wtedy tak bardzo mi ciąży nawet najlżejszy ciężar.
Idę, lecz cały stoję, nie czuję żadnego ruchu.
Pamiętaj wówczas - nie stoisz, lecz w ciszy te siły się prężą,
które odnajdą swą drogę, te siły, które wybuchną.

I wtedy znów - nie gwałtownie, nie cały sobą naraz
Rozkładaj momenty serca, rozkładaj napór woli.
W gorączkowym blasku źrenic niech się natychmiast nie spala
to, co rośnie w okresach zastoju.

3. NIEWIDOMI

Stukając białymi łaskami w bruk
stwarzamy dystans nieodzowny.
Kosztuje każdy krok.
W pustych źrenicach wciąż umiera świat
do siebie samego niepodobny:
świat złożony nie z barw, lecz z łoskotów
(kontury, linie szmerów).
Pomyśl, z jakim trudem dojrzewa się do całości,
gdy zawsze tylko część zostaje - i tę część musimy wybierać.

O jakże chętnie każdy z nas wzięłby cały ciężar
człowieka, który bez łaski białej obejmuje od razu przestrzeń!
Czy zdołasz nas nauczyć, że są krzywdy inne prócz naszej?
Czy potrafisz przekonać, że w ślepotcie może być szczęście?

4. AKTOR

Tyłu ludzi wyrastało koło mnie i przeze mnie, i ze mnie poniekąd.
Stałem się jakby łożyskiem, którym przetacza się żywioł
- na imię mu człowiek.

Ale skoro ja także jestem człowiekiem,
czyż natłok tych innych ludzi mnie samego jakoś nie wykrzywił?

Jeśli każdym z nich byłem niedoskonale, wciąż za bardzo zostając sobą -
czyż ten, który ze mnie ocalał, może patrzeć na siebie bez trwogi?

5. DZIEWCZYNA ZAWIEDZIONA W MIŁOŚCI

Często cierpienie uczuć mierzy się słupkiem rtęci
podobnie jak ciepło powietrza lub ciała -
a przecież trzeba inaczej wykrywać ich wielkość...
(lecz ty zanadto jesteś osią swoich spraw).

Gdybyś zdołała pojąć, że osią tych spraw nie jesteś,
a Ten, co nią jest,
też nie znajduje miłości -
- gdybyś zdołała to pojąć.

Po cóż jest serce ludzkie?

Temperatura wszechświata i serce ludzkie - i rtęć.

6. DZIECI

Dorastają zniemacka przez miłość, i potem tak nagle dorośli
trzymając się za ręce wędrują w wielkim tłumie -
(serca schwywane jak ptaki, profile wrastają w półmrok).
Wiem, że w ich sercach bije tętno całej ludzkości.

Trzymając się za ręce usiedli cicho nad brzegiem
Pień drzewa i ziemia w księżycu: niedoszeptany tli trójkąt.
Mgły nie dźwignęły się jeszcze. Serca dzieci wyrastają nad rzekę.
Czy zawsze tak będzie - pytam - gdy wstaną stąd i pójdą?

Albo też jeszcze inaczej: kielich światła nachylony wśród roślin
odslania w każdej z nich jakieś przedtem nie znane dno.
Tego, co w was się zaczęło, czy potraficie nie popsuć,
czy będziecie zawsze oddzielać dobro i zło?

7. MYŚLI CZŁOWIEKA

Nazwiska nie wymieniaj. Zwiąż z jakimkolwiek "ja",
to wszystko, co się otwiera i zamyka pod tchnieniem ust,
to wszystko, co czasem umiera w klimacie serca,
co chodzi za człowiekiem po całych dniach,
co światło w noc przemienia i ciepło w mróz -

to wszystko. Żyją ludzie i rodzą się pokolenia
niosąc wraz z sobą ramiona, gwoździe i dziwny uraz.
Wciąż się od Ciebie odsuwa, a nie oddziela się ziemia
- więc rośnie w prostych myślach i niespodzianych konturach.

Tak nie dorastać do ludzi, nie dorastać do różnych ludzi,
których prawda zawisa nade mną jak konar smutnego drzewa.
A przecież wciąż próbuję i nieraz nawet się trudzę,
i jeden profil rozumiem - ten właśnie, który opiewam.

Nie dość jednakże niosę i nie dość ciężary dzielę.
Nie dość, a myślę "zanadto", ileż razy myślę tak.
Nazwisko moje zamilcz. Nie pozwól mi szukać siebie.
Niech ślady moich stóp w własnej myśli zawiewa piach.

8. RYSOPIS CZŁOWIEKA

Są wątki splecione głęboko. Kiedy próbujesz rozplątać,
czujesz, iż musiałbyś wyrwać wraz z nimi siebie.
Więc tylko popatrz, zrozumiej - zbyt uporczywie nie wglądaj,
by nie wchłonęła cię przepaść
(nie jest to przepaść bytu, ale tylko przepaść myślenia).

Byt nie wchłania, on rośnie, powoli zamienia się w szept:
to myśl nabrzmiała istnieniem - to ty, to wszechświat, to Bóg.
W przeciwnym kierunku - czujesz - jak wszystko czepia się nóg
i byt się sprowadza do punktu, a myśl wysycha jak step.

Więc pracuj po prostu i ufaj. A w siebie wchodź na tyle,
by wiedzieć o swej pysze (to już pokora).
I raczej pilnuj woli. Uczuć gwałtownych wylew
czasami tylko się zdarza i nie ogarnia Boga.

9. ROBOTNIK Z FABRYKI SAMOCHODÓW

Spod moich palców wytworne modele - już szeleszczą po dalekich ulicach...
Ja z nimi jednak nie płynę po nawierzchniach nieznanymi szos,
nie nakręcam wskazówek ich ruchu - to czyni policjant.
Odtąd już mówią pojazdy, a mnie odebrano głos.

Mam duszę otwartą. Pragnę rozumieć.
Z kim walczę, dla kogo żyję? Oto myśli mocniejsze niż słowa.
Brak odpowiedzi. Takich pytań nie stawiaj zbyt głośno.
Powrót tylko jak co dzień o szóstej godzinie rano.

Skąd wiesz, że na wadze świata przeważa człowiek?

10. ROBOTNIK Z FABRYKI BRONI

Nie wpływam na losy globu, nie wszczynam wojen.

Czy idę z Tobą, czy przeciw Tobie - nie wiem.

Nie grzeszę.

Dręczy mnie właśnie to, że nie ja wpływam i nie ja grzeszę,
że toczę drobne zakrętki i gotuję fragmenty zniszczeń,
a nie ogarniam całości, nie ogarniam doli człowieczej.

Ja tworzyłbym inną całość i inną dolę (lecz jakże bez fragmentów?),
w której ja sam zarówno, jak każdy inny człowiek
byłby tą sprawą, rzetelną i świętą,
której nikt nie przekreśli w uczynkach
i nie zakłamie w mowie.

Świat, który tworzę, nie jest dobry -

lecz ja nie tworzę złego świata!

Czy to wystarcza?

11. MAGDALENA

Duch się przesunął nagle, a ciało jeszcze zostało
na dawnym swoim miejscu. Dlatego ogarnął mnie ból.

I trwać on będzie tak długo, aż nie dojrzeje ciało,
w duchu znajdzie pokarm dla siebie, a nie jak dotąd głód.

To są chwile, gdy miłość boli: tygodnie, miesiące, lata.

Język i podniebienie jak korzeń suchego drzewa,
wargi odarte ze szminki. Prawda długo gruntuje błąd.

Jednak suszę całego świata
nie ja odczuwam, lecz On.

12. CZŁOWIEK EMOCJI

Ty się nie męczysz miłością, która cię wciąż zalewa.

Oto plama entuzjazmu, plama powabna i płytka.

Gdy wyschnie - czy czujesz pustkę?

Między sercem a sercem jest przerwa,

w którą wchodzi się bardzo powoli

- wówczas wzrok się oswaja z barwą, a ucho z rytmem.

Więc kochaj idąc w głąb i docierając do woli,

by nie czuć ucieczki serca i myśli męczącej kontroli!

13. CZŁOWIEK INTELEKTU

To, co odbiera życiu różnorodność, i powab,
i smak przygody wielkiej, i spontaniczność, i oddech.

Jak ciasno jest w twoich formułach, pojęciach i sądach,
które są treści zgęszczeniem, a treści zarazem tak głodne.

Nie łam tej we mnie bariery, bo bardzo potrzebna wszystkim.
Każda droga człowiecza prowadzi w kierunku myśli.

14. CZŁOWIEK WOLI

Moment woli bezbarwny i ciężki jak uderzenie tłoka
albo znów ostry jak szpicruta,
moment, który się na ogół
tak nie narzuca
nikomu,
tylko mnie -
nie dojrzewa z uczuć jak owoc słodki,
nie wyłania się z myśli,
skraca drogę -
gdy przychodzi, muszę go podźwignąć,
i czynię tak na ogół.

Nie ma miejsca na serce i myśl,
jest tylko ten moment, który wybucha
we mnie jak krzyż.

CZEŚĆ III

SZYMON Z CYRENY

Oko w oko z Człowiekiem. Ulica i wiele twarzy -
i uderzenie w skroniach jak kuźni miarowy huk.
Ja nie idę szukać przygód. Nikogo nie chcę obrażać.
Chcę wystarczyć sobie samemu.
Niech przeto nie wdziera się we mnie żaden nędzarz, skazaniec ni Bóg.

Chcę jednak być sprawiedliwy, więc targuję się z wami, siepacze,
o tego drugiego Człowieka - (a przecież chcę wrócić do miasta).
Targuję się z wami o to, co sprawiedliwość każe,
co mnie słusznie winno ominąć, a co dla niego jest łaską.

Chcę zawsze być sprawiedliwy. Tu próg.
Poza ten próg nie przechodź, nie dotykaj myśli i serca,
niczego stamtąd nie ruszysz - ach, przymus i gwałt!
I on śmie na to się godzić - ten żebrak!

Człowiek sprawiedliwy dotąd - a dalej?
Pójdą ludzie - kobiety i dzieci - ci sami,
a ja z nim -
Któż nas odróżni, gdy ciężar złączonych na ziemię powali?
Ja z nim -
ja nie wytrzymam: sprawiedliwość to nie posąg ze stali.

Rozbij i otwórz (zdania muszą być zwięzłe,
ślizgać się muszą i rwać - nie będą to strofy okrągłe)
Rozbij i otwórz!
Zawisła nade mną źrenica - promieniowanie serca,
źrenica wyższa o belkę poprzeczną,
wyższa o tyle nade mną, że nie osiągnę...

Mój mały świat: sprawiedliwość ściśnięta kleszczami norm!
Twój wielki świat, Twój wielki świat: źrenica, belka - i On!

I mógłbyś w tym wielkim świecie mojego małego nie dostrzec,
i mógłbyś rozbić go do cna i unicestwić,
i mógłbyś idąc z krzyżem postawić wszystko na ostrzu -
Ty, szeroki, dostępny - Ty, w którym każdy człowiek się mieści.

Ja już nie chcę być sprawiedliwy! Ale ledwo stoję na progu,
skąd widać nowy świat! A obok przepływa tłum,
kobiety, dzieci, żołnierze: wszyscy krążą na granicy Boga.

Cisza, cisza -
Sprawiedliwość domaga się buntu - lecz przeciw komu bunt?

1957

Narodziny wyznawców

I

(MYŚLI BISKUPA UDZIELAJĄCEGO SAKRAMENTU BIERZMOWANIA
W PEWNEJ PODGÓRSKIEJ WSI)

1.
Świat jest pełen ukrytych energii, które zuchwale nazywam po imieniu.

Słowa przeto nie będą płaskie, lecz pełne: towarzyszy im odczucie zrywu;
nie przelatują jednak w pośpiechu jak w górach woda po kamieniach,
nie mijają w oczach jak drzewa –
trzeba się im przypatrywać długo, tak jak owadom przez szybę...

I wciąż, i wciąż pod słów powierzchnią czuć dno, by na nim oprzeć stopę.
(Oto myśl: składa się raczej z wielu prądów niż z niezliczonej liczby kropeł).
Jestem szafarzem. Sił dotykam, od których człowiek winien wezbrać.
Lecz to, co czasem pozostaje, przypomni także noc bezgwiezdna.

2.

Tyłu skupionych ludzi. Szeregi zestawione na ukos.
Korzeniami wrasta im w serce jakby wątła roślina
wychylona spomiędzy bruku.

3.

Odnajdujesz wśród rysów twarzy pole białe i równe,
z lekka cofnięte ku górze, z lekka nabrzmiące ku skroniom,
biegną u dołu brwi. Kiedy dotkniesz otwartą dłonią,
odczujesz może ufność.

Poza nią myśl, poza nią myśl, która być nie może widzeniem,
dlatego przechodzi w wybór. Czy wolę walki objawia tu gra
zmarszczek? Coś przez twarz uchwytnym osuwa się cieniem:
drga pole elektryczne...

4.

Elektryczność tutaj jest faktem – i jest symbolem.
Wpatruje się w blaski oczu i w rzęs przejrzysty gaik:
to, co leży na wierzchu, sprzęgnięte z tym, co się tai
-
granica przebiega nie tknięta niczym, niczym wzrokiem,
bo myśli podchodzą do oczu jakby owady do okien
i świecą cicho w źrenicach – a czyny w nich osiadają.
chodzi właśnie o głębię czynów.

5.

Ducha nie ujrzysz nigdy – tylko oczy są zwierciadłem myśli,
która w połowie drogi spotykam i z wolna zawracam...
(cierpka jagoda milczenia czy słodki ciężar konarów)
pomiędzy okiem a twarzą nieuchwytny przebiega wyścig,
otwiera czoło i twarz... i z cieniów ją ogołaca.

6.

Lecz to, co widzę, kształt twarzy, który mi wszystko zwykł mówić:
(nie spotykana poza tym nigdzie ekspresja istnienia)

ileż powiedzą oczy dziecka!
Stale coś w nich przechodzi przez nieokreślony równik
i jedna tylko z cząsteczek myśli zostaje ziemia.
Ciśnienie spraw niewidzialnych uwięzione w pękach atmosfer
i wszystko w tym mroku na tyle przejrzyste, że widzę dostęp.

7.
Kto ma przyjść?

8.
Wszystko inne jest w sobie zamknięte, trawy biegą
po krawędziach wiatru.
Jaką przestrzeń przygarnia jabłoń, w owoców wprowadza natłok?
Człowiek spotyka Tego, który go stale wyprzedza.
miejszem spotkania jest męstwo,
i każdy z nas jest twierdzą.

II

(MYŚLI CZŁOWIEKA PRZYJMUJĄCEGO SAKRAMENT BIERZMOWANIA W PEWNEJ PODGÓRSKIEJ WSI)

1.
Jakże się mam narodzić?
Czy pójdę światłem płynącym jak górski nurt,
a będę mówił: wyschło, wyschło, wyschło łóżysko potoku
i nagle się potknę, (nagle) jak dziecko o przeciągnięty sznur,
o myśl się potknę, o próg,
uderzy mnie w serce ta woda, nagle odbierze mi spokój.

Więc muszę pytać o źródło – chyba że starczy pójść
z nurtem, a nigdy nie stanąć, nigdy nie oprzeć się fali

czy oprzeć się znaczy już wyznać?

może naprzód kształtuje się myśl, może naprzód rodzi się znój
(jakbyś drzwi otwierał pod prąd
i pod prąd przywiązujesz łódź – wystarczy niewielki palik)

2.
Czy muszę być myślą we wszystkim i zawsze do końca?
Czy nie wolno mi myśleć dla siebie i tylko na swój użytek?

Czy nie wolno mi nigdy pomyśleć, że jestem „ciekawym zjawiskiem”,
a ciągle muszę pamiętać, że jestem „przygodnym bytem”?

3.

Jeśli jednak prawda jest we mnie, musi wybuchnąć.
Nie mogę jej odepchnąć, bo bym odepchnął sam siebie.

4.

(MYŚLI O KŁADCE)

Myślę o kładce rzuconej, na której stawiam stopę.
Czy kładka jest serce drgające od wzruszeń jakby od wiązań?
Czy kładką jest myśl?
(Myślę właściwie o wciąż o tym, co sercem tropię,
i nie wiem, czy jestem pełniejszy wzruszeń, czy poznań).

W przyczółkach mej kładki jest wszystko. Inaczej jednakże rosnę.
Inaczej także się chwieję, w inny bowiem wczuwam się wiatr.
Przemawia do mnie siła i słabość – tej siły kontrast:
chyba inaczej na sile,
a na słabości inaczej opiera się świat.

Czyż kładka jest tylko obrazem tego, kto po niej przechodzi?
Tkwi w nurcie, a brzegów się trzyma. Wciąż drży na zbiegu żywiołów.
Człowiek nie czuje od wewnątrz ciężaru godzin,
które zostają od góry, ale mijają od dołu.

5.

A jednak stoję. Biorę mą postać w profilu fali,
która odsuwa wciąż tylko siebie, a mnie zostawia.
Mój ruch jest inny:
tam tylko postać w przeźroczyście ujęta nawias,
a tutaj prawda, którą mym życiem muszę utrwalić.

6.

Czekaj więc, bądź cierpliwy. Zbiorę Ciebie ze wszystkich łożysk,
z potoków, źródeł światła, z korzeni drzew i słońca płaszczyzn.
Kiedy już dosyć nasiąknę,
streszczając w sobie dwa ciężary: ciężar nadziei i grozy,
a głębia, która osiągnę,
będzie dosyć przejrzysta – nikt mi nie powie, że upraszcam.

1961

Kościół (FRAGMENTY)

PASTERZE I ŹRÓDŁA (Bazylika św. Piotra jesienią 1962: 11 X – 8 XII)

ŚCIANA

Widzę prostą ścianę, a raczej ściany fragment:
biegną płaskie pilastry po obu stronach konch,
w których postaci świętych zatrzymane w swym biegu pragną
przekazać jednym ruchem
jakiś olbrzymi Ruch, który w nas ludzi przenika z otwartych ksiąg.

I nie ciężą ścianie sklepienia,
nie ciężą ludzie żywi, którzy mieszkają daleko w izdebkach
zmęczonych serc,
nie ciężą nawet ta przepaść, która teraz otacza się ziemia
- dopóki człowiek po to się rodzi, by jako niemowlę matczyną ssać pierś.

PRZEPAŚĆ

Abyssus abyssum invocat

Zawsze widzisz ją jako przestrzeń wypełnioną kaskadą powietrza,
w które biją odblaski szkielek zaszczepionych niby ziarnka
w dalekich kamieniach.
Proszę, byś po raz pierwszy dostrzegł również tę przepaść,
która bije odblaskami oczu. Człowiek każdy nosi ją w sobie,
a ludzie razem zebrani przesuwają tę przepaść jak łódź na swoich barkach.

I nie ma w tym wielkim ruchu niczego, co mógłbyś ominąć,
promieniem otwartych oczu jakby piórem pisząc swój znak.

Kiedy umysł nie dźwiga przepaści,
nie sądz, że już się zamknęła.
Chociaż odblask oczu twych nie sięga, przecież Łódź na barki się wspina:
wraz z nią Przepaść przyobleka się w ciało, aby przez to
w każdym człowieku stanowić Fakt.

MURZYN

To właśnie ty, Drogi Mój Bracie, czuję w tobie olbrzymi ład,
w którym rzeki urywają się nagle... a słońce wypala organizmy jak rudę

hutniczy piec
- czuję w tobie podobną myśl:
jeśli myśl nie biegnie podobnie, to przecież tą samą wagą oddziela
prawdę i błąd.
Jest tedy radość ważenia na jednej wadze tych myśli,
które inaczej błyskają w twoich oczach i w moich, choć tę samą
zawierają treść.

POSADZKA

W tym miejscu nasze stopy spotykają się z ziemią, na której powstało
tyle ścian i kolumnad... jeśli w nich się nie gubisz, lecz idziesz
odnajdując jedność i sens –
to dlatego, że cię Ona prowadzi. Oto łączy nie tylko przestrzenie
renesansowej budowli, ale także przestrzenie W Nas,
którzy idziemy tak bardzo świadomi swoich słabości i klęsk.

To Ty, Piotrze. Chcesz być tutaj Posadzką, by po Tobie przechodzili
(idąc przed siebie, nie wiadomo, dokąd), by szli tam, gdzie prowadzisz
ich stopy,
by łączyły się w jedno przestrzenie poprzez wzrok, który pomaga
urodzić myśl.
Chcesz być Tym, który służy stopom – jak skała raciczkom owiec:
Skała jest także posadzką gigantycznej świątyni. Pastwiskiem jest krzyż.

KRYPTA

Musimy przeto zejść pod posadzkę, na której naniesiono już ślady
tyłu stóp. Musimy przedrzeć skałę, by odkryć człowieka
zdeptanego raciczkami owiec: nie wiedziały wówczas, kogo depcą –
człowieka, który przeminął, czy Człowieka, który nie przemija?
Krypta ci powie: związana jest z całym światem, który ją wciąż oblega,
jak wojsko zmęczonych żołnierzy, którzy od niej odstąpić nie chcą.

SYNODUS

Wszyscy jednak wciąż trwają, zmęczenie nie wciąga w grób –
nawet starców – ledwie wloką kolana, a przecież gotowi na stadion,
oczy gasnące tak samo jak młode widzą całość: jest to świat, który ma przyjść
poprzez ich ciała i dusze – przez życie, które oddają, i śmierć, której pragną.
Jest to świat, który ma wejść jak złodziej – okradnie nas z tego, co mamy.
Zostaniemy biedni i nadzy, a przy tym przejrzyści jak szkło,
które nie tylko odbija, lecz tnie:
i taki rozcięty świat niech się zrasta pod smaganiem sumień,
które olbrzymią świątynię obrały sobie za tło.

EWANGELIA

Prawda nie sączy oliwy do ran, by nadto nie piekły,
nie wsadza na osła, którego się potem ulicami wodzi –
prawda musi boleć i kryć się.

Napinają się w mózgu konstrukcje, kiedy coś się nachyla jak gmach
wybudowany w ludziach – wszyscy myślą, jak wyprostować
nie fronton, lecz grunt głęboki, bo właśnie ten się opiera jak fala łodzi.

Prawda dźwiga człowieka. Kiedy człowiek nie dźwignie siebie,
gmach zbudowany ciśnie podwójnym zaprawdę ciężarem,
który wszyscy w sobie znajdujemy jak tajemniczy ekstrakt –
obiegając zdumione ulice, po których obwodzi się osła
(coraz mniej w tych ulicach prawdy? Czy coraz więcej?),
patrzmy spokojnie przed siebie, nie dosięga nas przestrach.

ŹRÓDŁA I RĘCE

Mamy bowiem oparcie w słowach wypowiedzianych kiedyś,
wypowiadanych nadal z wielkim drzeniem, by nic w nich nie zmienić...
Czy tylko tyle?

Są z pewnością niewidzialne Ręce, które trzymają nas tak,
że z wysiłkiem dźwigamy łódź, której dzieje nadają bieg
pomimo mielizn.

Czy wystarczy zagłębić się w źródła, nie szukając niewidzialnych Rąk?

DWA MIASTA (EPILOG)

Każde z dwu miast jest całością nieprzenośną z serca do serca.
Muszą tak żyć kosztem serca każdego z nas –
i każdy z nas znów żyć musi każdym z nich,
inaczej już żaden z nas nie potrafi istnieć,
jak tylko stanowiąc całość z jednym z obu tych miast
(rozmawiamy o tym długie godziny nad światłami Trzeciego Miasta,
które wieczór najbardziej jest sobą, gdy odrzuci całodzienny blichtr).

1962

Wędrowka do miejsc świętych

1. OLIVETTI

Fragment ziemi widziany przez liście, widziany przez czasów gąszcz,
widziany wreszcie przez potok, który wypełnia dno
szczupłego kielicha. Kielich powstał z pęknięcia skał.

Fragment ziemi widziany wciąż jeszcze przez Ciebie
czy już przeze mnie?

Skarłowaciałe oliwki, w których znaleźć nie mogę schronienia
ani wówczas, ani... a dziś dlaczego przychodzę?

Nie dziw się! Tutaj każde spojrzenie od tysiąc dziewięciuset lat
przechodzi w to jedno spojrzenie, które się nigdy nie zmienia.

2. PUSTYNIA JUDZKA

Tej ziemi trudno powiedzieć „jesteś piękna”.

Brażowieją głazem nawisłym zbocza, wnikają w pochyłość chmur.

Samochody prują powietrze i deszcz. Darma szukać choćby śladu zieleni.

Ludzie odeszli daleko. Nie sposób tutaj żyć.

Droga nie prowadzi do tych miejsc, lecz od nich ucieka.

Właśnie tutaj przyszedłeś. By nie mówić ziemi „jesteś piękna”?

Obojętne było miejsce. Wszędzie szukasz ludzi.

Aby ich szukać wszędzie, trzeba było stanąć na jakimś miejscu.

Wybrałeś to.

Cała ziemia przychodzi do tej jednej Ziemi i przez nią
ziemią się staje, tak jak staje się tym, co jest,
wszystko przez TEGO, KTÓRY JEST.

Nie było spotkania z ziemią Tego, który Jest.

To, co było –

nazywamy stworzeniem,

posiadaniem na własność, tak jak posiada się rzecz,

utrzymywaniem w istnieniu.

Spotkać się – to znaczy

nie tylko dotknąć (Ciebie nie dotyka żadna rzecz),

nie tylko być wobec siebie (czyż wobec Tego, który Jest,

cokolwiek jeszcze jest?)

- to znaczy nie tylko zależeć (ach, i jeszcze jak! zależeć
pomiędzy zaistnieniem a nicością, pomiędzy zaistnieniem

a unicestwieniem).

Tak właśnie zależałaś Ty, Ziemi, Ty jedna z wielu ziem – razem z całą
ziemią i ze wszystkim, cokolwiek jest. Tak właśnie zależałaś i tak zależysz.

Ziemię spotkania! Ziemię jedyną! Ziemię, przez którą stała się ziemią cała ziemia tak, jak stało się tym, co jest, wszystko – przez Tego, który Jest.
Nie mogę powiedzieć do Ciebie „jesteś piękna”.

Spotkanie może oznaczać początek rozstania.

Ziemię, przez którą nie rozstajemy się z Tym, który Jest, przez którą nie rozstaniemy się już nigdy – choćbyś Ty przestała być ziemią, choćbyś rozpadła się w szczątki swojego istnienia.

Nie ma rozstania po urodzeniu – „rozstać się”, które może być kresem każdego „spotkać się”, nigdy nie jest kresem narodzin. Narodzenie nie zna już kresu, nie zna rozstania.

Ziemię, ziemię nie-narodzona! Na której Ten, który Jest, stał się nam Ojcem. Do kresu się wyczerpałaś przy narodzeniu naszym. Nie pozostał w Tobie żaden ślad świeżości ani piękna.

- Ale nawet gdy byłaś młoda, nie byłaś wdzięczna – miałaś tylko pełne wdzięku zakątki.

3. TOŻSAMOŚCI

Do tych zakątków trafiam: (już nie są tym, czym były) – może gdzieś się rozłożą sprzedawcy z woreczkiem fig, biegają chłopcy, podsuwając przechodniom pod oczy fotografie i znaczki owinięte w szklistą celulozę – na progu zasobnych zapraszają gardłowym akcentem, przemycając czasem jakieś słowo włoskie, angielskie, nawet polskie.

Do tych zakątków trafiam: miejsce, miejsce jest ważne, miejsce jest święte. Przesunęły się tylekroć kamienie, zasypało tak wiele wyboi, piasek od tamtych czasów przesyłał się niezliczona ilość razy, nie pozostało ani ziarenka.

Nie tej jednak szukam tożsamości: miejsce jest sobą przez to, co je wypełnia.

Do tych miejsc trafiam, które wypełniłaś sobą raz na zawsze. Nie przychodzę, bym je sobą wypełnił ja, lecz bym sam napełnił się nim. Ach, miejsce! Musisz być przeniesione w tyle miejsc!

Ach, miejsce! Ileż razy, ilokrotnie się przeobrażałaś, nim z Jego miejsca stałaś się moim!

Kiedy On cię wypełnił po raz pierwszy, nie byłeś jeszcze żadnym miejscem zewnętrznym, byłeś tylko łonem Jego Matki. Jakże pragnąłbym wiedzieć, że kamienie, po których stąpałam w Nazarecie, to te same, których dotknęła Jej stopa, gdy była jedynym miejscem Twoim na ziemi. Spotkanie z Tobą przez kamień, którego dotknęła stopa Twojej Matki!

Ach, miejsce ziemi, miejsce ziemi świętej – jakimże miejscem jesteś we mnie! Dlatego właśnie nie mogę po tobie stąpać, muszę klęknąć. Przez to dzisiaj potwierdzam, że byłeś miejsce spotkania. Przyklękam – przez to wyciskam na tobie pieczęć. Zostaniesz tutaj z moją pieczęcią – zostaniesz, zostaniesz – a ja zabiorę ciebie i przeobrażę w siebie na miejsce nowego świadectwa. Odchodzę jako świadek, który świadczy poprzez tysiąclecia.

Tożsamość miejsc to nie tylko tożsamość kamieni, które składają się na węgiel domu, na palenisko lub studnię (ach, studnia w Sychem – od czasów Jakuba poprzez Samarytanę do dzisiaj) – tożsamość widoków, które otwiera sobie wzrok:

Mieszczę się w krajobrazie tym samym, widzenie także jest miejscem spotkania. Pielgrzymuję nie do kamieni, lecz do widoków, w których miejsca ziemi przepływają wciąż w jedną zatokę, a jest nią zatoka wzroku. Zatoka ta głęboko zapuszcza się w ląd. Łądem jest człowiek.

Pielgrzymuję do tożsamości. Pielgrzymuję nie do kamieni ułożonych w ten sam węgiel domu, w tenże sam bruk ulicy, w palenisko to samo. Jest tożsamość odnajdywania się w krajobrazie. Do niej pielgrzymuję. To miejsce jest święte.

Góra Tabor: tożsamość widzenia ze szczytu. Gdy Galileja podsuwa się w górę każdym polem uprawionym w trudzie, każdym kibucem, jaki rozpoznasz wieczorem po skupieniu lamp elektrycznych. Chłód przechodzi obok i potwierdza moją sylwetkę przy zachodzącym dniu.

Brzegi jeziora Genezaret. Tożsamość znajdowania się w Kafarnaum, Betsaidzie czy Magdali. W płytkiej wodzie przy brzegu wybiorę kilka kamieni, by je kiedyś położyć na spracowanej dłoni rybaka nad Notecią.

Tożsamość wnikania w przestrzeń i wynikania z niej.

Tożsamość oddechu. Miejsca wspólne bardziej są w nas niżli w ziemi.

4. JEDNO DRZEWO

Do tych miejsc wędrował Abraham, człowiek wielkiego spotkania (*tres vidit et unum adoravit*). Wewnętrzne miejsce spotkania przyniósł w sobie do tych miejsc zewnętrznych, na których cała ziemia stała się ZIEMIĄ, czyli MIESZKANIEM. Abraham, widomy początek nowego Adama.

Do tych miejsc trzeba iść przez pustynię. Abraham jeszcze szukał łąk, na pustyni własnego „ja” widział tylko Jedno Drzewo (*tres vidit et unum adoravit*), ku Niemu szedł. Drzewo rozłożyście! użycz cienia wszystkim ludziom, zwierzętom i roślinom! Wędrowkę Abrahama musi powtarzać cały lud.

Dziś samoloty „Arabic Airlines” skracają tę drogę do dwóch godzin. Czy oddaliliśmy się od trudu wędrowki, odsuwając w stronę przestworzy nieurodzaj starej ziemi? Z daleka wypadnie nam minąć górę Synaj: oni jednak mieli odwagę iść prosto na Jej spotkanie.

Ziemi, ziemio! odpowiedz żądaniom wiecznej Mądrości! Miejsce spotkania, przestań być pustynią, stań się oazą! Czyż nie powinien rozkwitnąć człowiek tam, gdzie Ty się przybliżysz? Przybądź i przynieś z sobą rozkwit człowieka!

Miejsce rozkwitu człowieka – czyż możemy Ciebie zamienić na tyle kwitnących miast w przeszłości i przyszłości? Czyż możemy zamienić miejsca rozkwitu na jedno miejsce, na którym stanął krzyż? Do tego miejsca pielgrzymował lud przez pustynię.

Ponad wszystkie miejsca spotkania to jest miejsce ostatnie i pierwsze. Nie rozstaje się z nim nigdy ziemia. Ziemia siebie na nim potwierdza. Rozkwit człowieka nie sprowadza się do samych miast, w których mieszkania ludzi wybiegły już dawno ponad wierzchołki drzew. Ludzie bezdomni w swych mieszkaniach zamieszkują na nowo Ziemię przez Krzyż.

Nie ma go tutaj dziś. Nie widać nawet skały, na której stał. Pobudowano przypadkowe domy w pobliżu miejsca, na którym wszystko posiadało sens. Architektura jest tu przypadkowa i najbardziej zarazem pełna sensu. Wszystko, co jest częścią i aspektem, tłumaczy się przez całość. Miejsce całości, mieszkanie wszystkich spotkań i wszystkich ludzi. Poza tobą są bezdomni.

Miejsce spełnienia: początek nowego Adama osiągnął swój kres. Ten kres jest znowu początkiem, początkiem nas wszystkich. Tutaj się także poczęłem. Jakież jednak rozkwit stąd wynika? Człowiek rodzi się dla rozkwitu jak zwierzę czy kwiat – lecz one mieszkają wszędzie, gdzie człowiek jest bezdomny.

Człowiek rozkwita przez miasta – ale swój rozkwit bezdomny przynosi na to miejsce, na którym każda architektura jest przypadkowa. Przypadkowe jest każde miasto, lecz stąd ono czerpie swój sens – czerpie jak wodę. Krzyż stał się nam studnią Jakuba.

5. MIEJSCE WEWNĘTRZNE

Miejsce moje jest w Tobie. Twoje miejsce jest we mnie. Jest to wszakże miejsce wszystkich ludzi. A przecież nie jestem na nim pomniejszony przez wszystkich. Jestem bardziej sam (niż gdyby nie było nikogo innego): jestem sam na sam. I zarazem jestem przez wszystkich pomnożony w Krzyżu, który na tym miejscu stał. To pomnożenie – a niepomniejszenie – pozostaje tajemnicą: Krzyż idzie pod prąd. Cyfry cofają się w nim przed Człowiekiem.

Jak doszło w Tobie do krzyża?

Teraz zejdziemy w dół po wąskich schodach, jakby tunelem w ścianie. Ci, którzy wtedy schodzili po zboczu, przystanęli na miejscu, gdzie dziś znajduje się płyta. Namaszczone jeszcze Twoje ciało, potem włożono do grobu.

Miałeś miejsce na ziemi przez Twoje Ciało. Miejsce zewnętrzne Ciała zamieniłeś na miejsce wewnętrzne, mówiąc „bierzcie i pożywajcie z niego wszyscy”.

Promieniowanie miejsca wewnętrznego względem wszystkich zewnętrznych miejsc Ziemi, do której przyszedłem w pielgrzymce. To miejsce wybrałeś od wieków. Miejsce, w którym Siebie udzielasz, a mnie przyjmujesz.

[1965]

Wigilia wielkanocna 1966

I. INWOKACJA

1. ROZPOCZYNA SIĘ ROZMOWA Z SOBĄ

Czy to znaczy, że trafiam w treść, co do której umówili się ludzie,
by ją nazwać ważną i wielką - i głosić sobie nawzajem?

Czy to znaczy, że jestem zgodny w rachubie lat z kronikarzem
Thietmarem z Merseburga - że widzę przeszłość podobnie jak mistrz
Wincenty,

że chcę być w harmonii z tym, co minęło?

(a może przedkładałam widzenie dróg przeszłości wyczytane z kronik
ponad widzenie w mroku wykopalisk Wiślicy?)

To znaczy, że trafiam na korzenie własnego drzewa,
że zagłębiam się w jego tajemny wzrost,
który i mnie się udzielił i ze mnie ma swe ciało.

Czuję, że jestem w nim i ono we mnie.

Drzewo jest ciałem fizycznym.
Historia ludzi takich jak ja szuka swojego Ciała.

2. ROZPOCZYNA SIĘ ROZMOWA Z BOGIEM

Ciało ludzkie w historii umiera częściej niż drzewo, umiera wcześniej.
Trwa człowiek poza progiem śmierci w katakumbach i kryptach.
Trwa człowiek, który odszedł, w tych, co po nim przychodzą.
Trwa człowiek, który nadchodzi, w tych, co odeszli.
Trwa człowiek poza wszelkim odejściem i przyjściem
w sobie
i w Tobie.

Historia ludzi takich jak ja szuka Ciała, które Ty im dasz.
Każdy w historii traci swe ciało i każdy odchodzi ku Tobie.
W chwili odejścia każdy jest większy niż dzieje, których
częstkę stanowi (fragment jakiegoś stulecia
lub dwóch stuleci fragmenty scalone w jedno życie).

3. ROZPOCZYNA SIĘ ROZMOWA Z CZŁOWIEKIEM, SPÓR O ZNACZENIE RZECZY

W tym punkcie nie możemy się zgodzić.
On mówi, że człowiek jest tylko skazany na to, by
stracić swe ciało. Historia ludzi nie szuka niczego innego
prócz ciała rzeczy: te zostają, gdy człowiek umiera,
żyją nimi potem pokolenia. Rzeczy nie są śmiercią osób,
człowiekowi pozostaje nieśmiertelność rzeczy.

Mówię: ogromnie wiele z człowieka umiera w rzeczach,
więcej niż pozostaje. Czy próbowałeś ogarnąć to,
co nie umiera? Czy próbowałeś znaleźć dla tego
przestrzeń i profil? -

- Nie mów o niewiadomych! Niewiadomą nie jest człowiek!
- Człowiek napełniony jest zawsze tym, co człowiecze.
- Nie odłączaj człowieka od rzeczy, które ciałem są jego historii!
- Nie odłączaj ludzi od Człowieka, który stał się Ciałem ich historii: tego, co na wskroś człowiecze, nie ocalały rzeczy - tylko Człowiek!

Stoimy przed frontonem przeszłości, która się dla nas zamyka
i równocześnie otwiera. Jedności odejść i przyjść nie zamykaj świadomością
jakąś oderwaną, tętniły bowiem życiem i ociekały krwią.

- Powracaj na każde miejsce, na którym umierał człowiek, a jeszcze bardziej

na miejsce, na którym się rodził. Przeszłość jest czasem narodzin, nie śmierci.

4. WŁAŚCIWA INWOKACJA, CZYLI WOŁANIE DO CZŁOWIEKA, KTÓRY STAŁ SIĘ CIAŁEM HISTORII

Do Ciebie wołam, Człowieku, Ciebie szukam - w którym
historia ludzi może znaleźć swe Ciało.
Ku Tobie idę, i nie mówię "przybądź",
ale po prostu "bądź",

bądź tam, gdzie w rzeczach żaden nie widnieje zapis, a człowiek był,
był duszą, sercem, pragnieniem, cierpieniem i wolą,
gdzie go trawiły uczucia i palił najświętszy wstyd -
bądź jak wieczysty Sejsmograf tego, co niewidzialne a Rzeczywiste.
Człowieku, w którym ludzkie dno się spotyka i ludzki szczyt,
w którym wewnątrz nie jest ciężarem i mrokiem, lecz właśnie sercem.

Człowieku, w którym każdy człowiek odnaleźć może zamysł najgłębszy
i korzeń własnych uczynków: zwierciadło życia i śmierci wpatrzone w ludzki
nurt,

do Ciebie - Człowieku - stale docieram przez płytką rzekę historii,
idąc w stronę serca każdego, idąc w stronę każdej myśli
(historia - myśli stłoczeniem i śmiercią serc).
Szukam dla całej historii Twojego Ciała,
szukam Twej głębi.

II. OPOWIEŚĆ O DRZEWIE ZRANIONYM

1.

Był wokół sad, szczepiono drzewa.
Mieszko przechadzał się w cieniu i patrzył.
Nie widział ogrodnika, nie widział drzew, nie widział szczepów.
Myślał: nie skosztuję już tych owoców, gdy wzejdą.
Skosztuje syn, skosztują wnuki, prawnuki.
Czy sad obrodzi? jaki owoc uznają ludzie
za dobry?

Nie lęka się ogrodnik naciąć kory. Wierzy drzewu:
życie będzie silniejsze od nacięć, na nowo wzbierze...

Na siebie patrzeć muszę jako na pień -
roзраста się przeze mnie też ZRANIONE DRZEWO.

2.

Dlaczego przeze mnie rozrastać się ma ZRANIONE DRZEWO?

Dlaczego patrzeć mam na siebie jako na jego owoc?
Korzeń, z którego wyrastam, jest mną - do rozkwitu dochodzę: jest to
rozkwit własny,
jest to własne piękno i brzydota scalone w jeden twór,
własne dobro i zło wypełnia moją świadomość i od niej zależy.
Gdy owoc spada z drzewa historii - własnym opada ciężarem
i dojrzałością istnienia, po którym zostaje znak.
I znak mnie zasklepia.

Drzewo nie wciągnie mnie w swe arterie: w cieśniny życia.
Nie przyjmuję jego kory ni cienia, który roztacza...

3.

A jednak przyjąłem DRZEWO ZRANIONE, choć mu się wciąż sprzeciwiam.
Przyjąłem, by rosło przeze mnie, przez moich wnuków, prawnuków,
by rodziło nas jako owoce -
owoce nacięć, w których przyjmuje się szczep.

Zrozumiałem: musi być zranione, by szczep miał gdzie utkwąć.
Zrozumiałem: musi być zranione, aby mogło przesączyć się życie.
Zrozumiałem: muszę się otworzyć...
(granice mego życia przesuwają się tak, że to, co nie-moje, staje się moje -
czyż nie muszą się przesunąć tak, że co moje, stanie się nie-moje?)

4.

DRZEWO mówiło tak:
nie lękaj się, gdy umieram - nie lękaj się ze mną umrzeć,
nie lękaj się śmierci - bo patrz, odżywam: śmierć tylko dotknęła kory.
Nie lękaj się ze mną umrzeć i odżyć. Zasklepi się znak.
Dojrzeje w nim wszystko na nowo -
i owoc nie opadnie ciężarem własnym.
DRZEWO odda owoce Temu, kto je szczepił -
będziecie pożywać owoce wyrosłe na Mnie, Zranionym Drzewie.
DRZEWO mówiło "na Mnie" - nie czułem jego obcości,
znikło poczucie przeciwieństw pomiędzy Nim a mną
(może zrazu na chwilę?).

Odchodziłem, a DRZEWO stało obejmując przeszłość i przyszłość.

5.

Mówiłem: dobrze, przerośnij mnie, gdy masz moc taką,
przerośnij wszystkich ludzi albo ich wchłoń
(nie wchłania się ludzi, można ich przerosnąć:
wtedy powstaje przestrzeń, w której mieści się każdy -
każdy zostaje sobą, choć zaczyna na nowo żyć).

III. SPOJENIA

Chodzimy po spojeniach. Ziemia zdawała się gładka, zdawała się równa.
Długi czas myślano, że płaski jej krąg obłany jest wodą od dołu, od góry
słońcem.
Potem przyszedł Kopernik: ziemia straciła zawiasy, zawiasem ziemi stał się
ruch.
Chodzimy po spojeniach inaczej niż przedtem. (Kopernik zatrzymał
słońce, a ziemię pchnął).

Na spojeniach stawiamy stopy, na spojeniach kładziemy myśl:
chodzi o zasięg spojeń (mówisz tak: przyjmuję te, które widzę -
chcę widzieć wszystkie - jeśli nie ujrzę, nie dotknę - nie przyjmę
spojeń).

Mieszko stapał po spojeniach, często odczuwał lęk:
nie tylko z lęku składał ofiary, nie tylko - żeby przeważyc los.
Gdy szukał bóstw w spojeniach świata i niewiadomych losu,
gdy do wielu docierając bóstw, wypowiadał z lękiem imiona
(najstarsze w języku praojców),
stało się jawne, że Bóg nie mieszka w spojeniach świata, w zawiłościach
ludzkiego losu,
lecz przemawia własnym językiem, mową najprostszą szczerości.
Przeniknęła szczerość Boga poprzez spojenia świata: (oto mowa nie złożona
z dociekań, nie mowa poszukiwań, lecz odnalezień).
Ktoś stanął i mówił. Słowa były ludzkie, słowiańskie.
Świat był w nich ważny i nieważny. Śmierć surowa i obiecująca.

SPOJENIA (CIAĞ DALSZY)

Do spojeń świata przywiąż myśl! lecz zwolnij serce i duszę otwórz!
Ciało umrze i zmartwychwstanie. Życie potwierdzi się poza życiem.
(Gdy będziesz starał się zrozumieć to wszystko z śmiertelnych zmagają
Słowian,
pozwól, że spojrzę przez spojenia duszy - mej własnej,
wracając duszą do dusz moich Wiślan i Polan:)

Spojeniem dusz jest słowo, jest mowa - mowa wzajemna.
Chrztem nazwijmy ten moment -
(gdy Bóg wyszedł ze spojeń świata, z zawiłości ludzkiego losu)
gdy przemówił do Mieszka tak, że Mieszko mógł odpowiedzieć.

Ach, to spojenie osób - niewidzialne, niedotykalne - przecież musi mieć
swoją znak!
Ach, to wciągnięcie w Ojcostwo, które jest bardziej wewnętrzne niż

jakikolwiek widzialny świat -
to wciągnięcie przez Słowo: przez milczenie bardziej niż przez mowę -
to wciągnięcie przez Miłość, która porusza i zarazem unieruchamia -
to wciągnięcie - *mysterium tremendum et fascinans* – musi mieć swój
znak!

W znaku chodzimy od wieków. Myśl nie przylega do spojeń - sama się staje
spojeniem, zawiąsem wszelkiego ruchu, jaki przenika człowieka.

W znaku chodzimy od wieków. Znak zastąpił spojenia świata i zawiłość
ludzkiego losu.

IV. ROZWÓJ JEZYKA

Nie znam tych słów najstarszych. Gdy wracam do zapisów, jeszcze jestem
daleko od żywych słów
napelnionych tchnieniem i dźwiękiem historycznego człowieka.

(Śmierć odsunęła ten dźwięk poza tyle stuleci. Został zapis, jedyny ślad dla
żarliwego potomka - na nim urywa się ścieżka - a wiadomo przecież, że
dalej prowadzi...)

...a wiadomo przecież, że musi prowadzić do pierwszych natchnień języka,
do tych w człowieku odkryć, którym odpowiada przedmiot.

Jedność natchnień i znaczeń.

Kiedyż zaczęły brzmieć tym nurtem dźwięków, którym płyną do dzisiaj
w nas?

Jak rzeźbiły sobie łożysko kształtów najprostszych, którymi wciela się duch?
wyróżniają się rody, plemiona, naród?

Długo trwała fala narodzin
skupionych w łonach matek, skupionych w słów tożsamości,
przekazywanych wraz z życiem -

Jak zaczęło w tej fali brzmieć słowo "Bóg" i jak zaczęło znaczyć,
nim doszło do znaczenia, jakie ma w odwiecznym Słowie?

Człowiek doszedł -

może nie wiedział, że dochodzi -

czy znaczenie nadaje się umysłem, czy także sercem?

(Kiedy wracam do tego momentu, jestem już "ja", nie "on"

- znaczenie słów dojrzało, jak wypowiada się serce?)

Ty jeden, który chodzisz za sercem, który osłaniasz korzenie naszego

wzrostu -

wielości słów przyniosłeś jedność.

V. ECHO PIERWORODNEGO PŁACZU

1.

Czy przyniosłeś nam jedność chceń?

Jak ogarnąć tę jedność przez taką wielość chwil –

w każdej wola może się rozszczepić na dobro i zło

(wola, wola - pierworodny płacz zalega dno historii).

Jesteś czuły, jesteś wrażliwy - każde rozszczepienie ma w Tobie swoje

miejsce i swój ślad.

Zostałeś dla nas na zawsze w znaku naszych rozszczepień.

W znaku naszych rozszczepień objawia się Twoja jedność,

jedność Człowieka i Słowa: tą jednością idziesz w rozszczepienia rozsiane

szeroko wśród nas

- w rozszczepienia rozsiane jak ziarno, by było płodne –

by rosło w bogactwo, by rosło też przeciw jedności człowieka w Słowie.

Po latach, po tysiącu lat, przyniesiemy Ci bogactwo chceń, przyniesiemy

Ci bogactwo klęsk

(wola, wola: płacz pierworodny zalega dno historii).

Twój znak - znak naszych rozszczepień, stał się znakiem naszego

bogactwa -

w tym znaku bronisz wolności: wolność rodzi nasze bogactwo.

Wypełniłeś naszą wolnością Twój znak. Czy wolność jest przeciw Tobie?

Przez tyle pokoleń idziemy - każdy z nas idzie - na spotkanie wolności,

która się nie sprzeciwi miłości, ale miłością wypełni.

Przez tyle pokoleń idziemy - każdy z nas idzie - w stronę swej własnej

wolności.

Czy wolność jest próżnią...

2.

(Wielką próżnią człowieka i próżnią historii - na tej próżni zaszczepiono

bogactwo i ubóstwo, zwycięstwo i klęskę - na tej próżni łamano piony

i ścieśniano horyzonty - granice wolności - wolność potwierdzała się wciąż

- wolność przewyższyła ludzi - odchodzili ludzie, nie wiedząc, że jej

nadużyli - gdy wiedzieli, odchodzili z poczuciem winy - czasem spadały głowy

- wolność pozostawała wielką próżnią do wypełnienia).

Wypełniłeś naszą wolnością TWÓJ ZNAK.

3.

Pozwól mi patrzeć własnymi oczyma i poprzez własne „ja”:

ojczyzna posiada bliskość niewysłowioną - ruch, który przenika stulecia,

który pozwala wyłonić z pokoleń nie treść, lecz właśnie osobę,

jej życie mierzyć swym życiem - i nagle znajdować wzajemność –

to Ktoś inny moją stał się miarą.

VI. OBRZĘD

1.

Ziemia nasza stała się obrzędem, znakiem odnalezienia, w którym odnalazł się CZŁOWIEK.

Czy pojednanie z ziemią może zastąpić konieczność,
czy może zastąpić przymus istnienia, jakim jest ziemia -
każda ziemia, nawet ta, którą sercem wybierasz ze wszystkich ziem?
Gdy w niej się zakorzeniasz na życie i śmierć - wtedy ona ściera ciebie
na proch.

Z trudem przezierasz i z trudem jesteś przejrany poprzez konieczność
ziemi.

Jest trud dźwigania stale tylu ludzi z przymusu ziemi - ten trud nazywa się
historią.

Historia nie jest zmartwychwstaniem, jest stałą zgodą na śmierć -
daje tylko przejrzystość ciągowi ludzkich umierań.

Nie dosięga ona obrzędu, jakim stała się ziemia, nasza ziemia.

Stąd nasza miłość do niej. Miłość nie płynie ze śmierci, lecz wybiega
poza nią.

Z miłości, która wybiega poza śmierć, obrzędem stała się ziemia.

Z miłości, która wybiega poza śmierć, nasza ziemia stała się obrzędem.

2.

Jest to obrzęd wielu wód tryskających z ziemi na podobieństwo roślin
- rośliny tej ziemi to rzeki, jak woda ziemią jest roślin -

rzeki marzną na zimę, marzną jeziora i stawy, tryskają źródła:
życie wody rozsadzi lód.

Ziemia nasza będzie bliżej słońca, bliskości wystarczy dla życia.

Ożyje woda, ożyją drzewa, OŻYJE ZIEMIA, stanie się obrzędem -
wprowadzi cię poza krąg umierania, jaki w niej samej tkwi.

Czyż konieczność ŻYCIA - jak mówi ziemia i woda każdej wiosny - nie jest
głębsza niż konieczność śmierci?
- tak mówią ziemia i woda, szemrząc do siebie wzajemnie.

Jak przetłumaczysz ich szemranie wzajemne na twoją własną mowę?
Śmierć oraz życie ziemi jak zaszczepisz w myśli?

Obrzęd wód przemawia inaczej wiosną, gdy życie przywraca ziemi,
inaczej latem, gdy człowiek wysycha z pragnienia, jakby łożysko rzeki,
gdy ciało błaga o czystość i chłód...

Wówczas człowiek chłonie obrzęd wód - jest w nim równowaga.

Człowiek przechodzi w równowagę wewnętrzną wody,
w której łączy się bieg przeznaczeń właściwy każdej fali

VII. WIGILIA WIELKANOCNA 1966

Jest taka Noc, gdy czuwając przy Twoim grobie, najbardziej jesteśmy
Kościołem -
jest to noc walki, jaką toczy w nas rozpacz z nadzieją:
ta walka wciąż się nakłada na wszystkie walki dziejów,
napętnia je wszystkie w głąb
(wszystkie one - czy tracą swój sens? czy go wtedy właśnie zyskują?).

Ten Nocy obrzęd ziemi dosięga swego początku.
Tysiąc lat jest jak jedna Noc: Noc czuwania przy Twoim grobie.

[1966]

Myśląc Ojczyzna...

Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam,
mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega
ku innym,
aby wszystkich ogarnąć w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas:
z niej się wyłamiam... gdy myślę Ojczyzna – by zamknąć ją w sobie jak skarb.
Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń, którą
wypełnia.

GDY DOKOŁA MÓWIĄ JĘZYKAMI...

1. Gdy dokoła mówią językami, jak narastały pokolenia, wnosząc do skarbcza swej ziemi
rzeczy stare i nowe -

Ziemia stała się łożyskiem światła zapalanych głęboko w ludziach, płynęły wciąż
jednakowo te same rzeki i wciąż na nowo opływał ziemię strumień mowy wzbierający
historią.

Wody rzek zbiegały ku dołowi, strumień mowy dążył stronę szczytu.

Szczytem był każdy człowiek wyrastający z tej ziemi i każdy nim jest –
równocześnie szczyt wznosi się ponad każdym i ponad wszystkimi, wznosi się coraz
stromiej i coraz głębiej zapada w sumienia.

2. Gdy dokoła mówią językami, dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. Zagłębia się w
myśli pokoleń i ziemię naszą opływa, i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem –
poza nim dźwięczy rzadko –

(w grupach ludzi, którzy mówią wokoło, jakby wyspy opłynięte oceanem powszechnej
ludzkiej mowy, nie znajduję własnej fali) –

nie rozszerzyły się zasoby mej ziemi; jeśli nawet odpłynęła mowa, to żeby zanikać powoli w wysychających łożyskach –

nie podjęły mowy moich ojców języki narodów, tłumacząc „za trudna” lub „zbędna” – na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem.

Język własny zamyka nas w sobie: zawiera, a nie otwiera.

3. Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb własnych korzeni, czekając na owoc dojrzewania i przesilenia.

Ogarnięci na co dzień pięknem własnej mowy, nie czujemy goryczy, chociaż na rynkach świata nie kupują naszej myśli z powodu drożyzny słów.

Czyż nie żywimy pragnienia głębszej jeszcze wymiany?

Lud żyjący w sercu własnej mowy pozostaje poprzez pokolenia tajemnicą myśli nie przejrzanej do końca.

SŁYSZĘ JESZCZE DŹWIĘK KOSY...

Ojczyzna – kiedy myślę – słyszę jeszcze dźwięk kosy, gdy uderza o ścianę
pszenicy,

łącząc się w jeden profil z jasnością nieboskłonu.

Lecz oto nadciągają kosiarki, zapuszczając do wnętrza tej ściany
i dźwięków monotonię i ruchów gwałtowne pętle, i tną...

DOCIERAM DO SERCA DRAMATU...

1. Poza mową otwiera się przepaść. Czy jest to niewiadoma słabości, jakiej doświadczyliśmy w ojcach naszych i dziedziczymy w sobie?

Wolność stale trzeba zdobywać, nie można jej tylko posiadać. Przychodzi jak dar, utrzymuje się poprzez zmaganie. Dar i zmaganie wpisują się w karty ukryte, a przecież jawne.

Całym sobą płacisz za wolność – więc to wolnością nazywaj, że możesz płacąc ciągle na nowo siebie posiadać.

Tą zapłata wchodzimy w historię i dotykamy jej epok:

Którędy przebiega dział pokoleń między tymi, co nie dopłacili, a tymi, co musieli nadpłacać? Po której jesteśmy stronie?

Nadmiar tyłu samostanowień czyż nie przerósł sił naszych w przeszłości? Czyż ciężarów historii nie dźwigamy jak filar, którego pęknięcie nie zabiłoby się dotąd?

2. Ojczyzna: wyzwanie tej ziemi rzucone przodkom i nam, by stanowiąc o wspólnym dobru i mową własną jak sztandar wyśpiewać dzieje.

Śpiew dziejów spełniają czyny zbudowane na opokach woli. Dojrzałością samostanowienia osądzamy młodość naszą, czasy rozbicia i złoty wiek –

Osądziła złotą wolność niewola.

Nosili w sobie ów wyrok bohaterowie stuleci: w wyzwanie ziemi wchodzili jak w ciemna noc, wołając „wolność jest droższa niż życie!”.

Osądziliśmy wolność naszą sprawiedliwiej niż inni (podnosiła swój głos tajemnica dziejów): na ołtarzu samostanowienia płonęły ofiary pokoleń – przejmujące wołanie wolności silniejszej niż śmierć.

3. Czyż możemy odrzucić wołanie, które rośnie w nas jakby nurt w za wysokich i zbyt stromych brzegach?

Czyż możemy mierzyć naszą wolność wolnością innych?

- zmaganie i dar –

Wy, co wolność waszą związaliście z naszą, przebaccie!

I patrzcie! – że wolność naszą i waszą odkrywamy ciągle na nowo jako dar, który przychodzi, i zmaganie, którego wciąż nie dosyć.

REFREN

Kiedy myślę: Ojczyzna, szukam drogi, która zbocza przecina jakby prąd wysokiego napięcia, biegnąc górą – tak ona biegnie stromo w każdym z nas i nie pozwala ustać.

Droga biegnie po tych samych zboczach, powraca na miejsca te same, staje się wielkim milczeniem, które nawiedza co wieczór zmęczone płuca mej ziemi.

MYŚLĄC OJCZYŻNA, POWRACAM W STRONĘ DRZEWA...

1. Drzewo wiadomości dobrego i złego wyrastało nad brzegami rzek naszej ziemi, wyrastało wraz z nami przez wieki, wrastało w Kościół korzeniami sumień.

Nieśliśmy owoce, które ciążą i które wzbogacają. Czuliśmy, jak głęboko rozszczepia się pień, choć korzenie wrastają w jeden grunt...

Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień. W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki. Historia ich nie pokrywa, lecz uwydatnia...

Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?

2. W którą stronę rozgałęził się pień? W którą stronę podążają sumienia? W którą stronę narasta historia naszej ziemi? Drzewo wiadomości nie zna granic.

Granicą jest tylko Przyjście, które zmagania sumień i tajemnice dziejów połączy w jednym Ciele – i drzewo wiadomości zamieni w Źródło Życia wciąż wzbierające.

Lecz dotąd dzień każdy przynosi to samo rozszczepienie w każdej myśli i czynie, z którego Kościół sumień rośnie w korzeniach historii.

3. Obyśmy nie stracili sprzed oczu tej przejrzystości, z jaką przychodzą ku nam wydarzenia zbłąkane w niewymiernej wieży, w której człowiek jednakże wie, dokąd idzie. Miłość sama równoważy los.

Obyśmy nie rozszerzali wymiarów cienia.

Promień światła niechaj pada w serca i przeświecła mroki pokoleń. Strumień mocy niech przenika słabości.

Nie możemy godzić się na słabość.

4. Słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją klęską, gdy zapomina, że został posłany, by czuwać, aż przyjdzie jego godzina. Godziny wciąż powracają na wielkiej tarczy historii.

Oto liturgia dziejów. Czuwanie jest słowem Pana i słowem Ludu, które będziemy przyjmować ciągle na nowo. Godziny przechodzą w psalm nieustających nawróceń: Idziemy uczestniczyć w Eucharystii światów.

5. Więc schodzimy ku tobie, ziemio, by poszerzyć cię we wszystkich ludziach – ziemio naszych upadków i zwycięstw, która wznosisz się we wszystkich sercach tajemnicą paschalną.-

Ziemio, która nie przestajesz być częścią naszego czasu.

Ucząc się nowej nadziei, idziemy poprzez ten czas ku ziemi nowej. I wnosimy ciebie, ziemio dawna, jak owoc miłości pokoleń, która przerosła nienawiść.

Kraków, 1974

Rozważanie o śmierci

I. MYŚLI O DOJRZEWANIU

1.

Dojrzałość, zstępowanie do ukrytego rdzenia,
opadają warstwy wyobraźni jakby liście zawarte w pniu,
wyciszą się takie komórki, którymi wrażliwość jeszcze się rozbudza,
a ciało własną swoją pełnią dosięga brzegów jesieni –
dojrzałość, przybliżenie powierzchni do dna,
dojrzałość, przenikanie głębi,
dusza bardziej pojednana z ciałem,
bardziej śmierci przeciwna,
niespokojna o zmartwychwstanie.
Dojrzałość do trudnych spotkań.

2.

Dojrzałość jest także bojaźnią.
Kres uprawy zawiera się już w jej początku –
początkiem mądrości jest bojaźń –
lecz spoczywa już na innych warstwach tej samej gleby,
nie jest już potrzeba ucieczki,
jest przestrzenia, którą mierzy się wielkość.
Przenikamy do tej przestrzeni,
odchodzimy od tego początku

i tak wracamy powoli:
dojrzałość jest bowiem w miłości,
która przemienia bojaźń.

3.

Gdy znajdziemy się u brzegów jesieni,
bojaźń i miłość wybuchną przeciwnym sobie pragnieniem,
bojaźń pragnieniem powrotu do tego, co już było istnieniem
i wciąż jeszcze nim jest –
miłość pragnieniem odejścia ku Temu, w Kim istnienie znajduje całą swą
przyszłość.

W nas, patrzących ku brzegom jesieni,
zmaganie przebiega wzdłuż tego podziału,
jaki każdy człowiek w sobie nosi,
gdy ciało wciąż w nim stanowi przeszłość jego własnej
przyszłości,
- każdy, gdy swej własnej przyszłości nie potrafi łączyć ze swym ciałem...

II. MYSTERIUM PASCHALE

1.

Nurtów mijania nie zatrzymasz. Jest ich wiele,
biegną wokół, tworzą pole, w którym przemijasz sam,
pogodzony, bo jednak coś wzbiera,
bo rośnie wokoło świat.
I we mnie
coś zostaje z dziedzictwa i coś z zapowiedzi:
nurt mijania jest też nurtem wzbierania.
Tych nurtów nie wytrzymasz do końca,
pójdą dalej – sam opadniesz poniżej, to wiesz
na pewno
i w proch się obrócisz, to wiesz
na pewno –
istniejesz stale ku śmierci, istniejąc wciąż ku przyszłości,
ona stale wstępuje w twój nurt.
Czy wyzwoli cię z pól przemijania?
czy odbierze istnieniu całą przeszłość i przyszłość zarazem?

2.

Mysterium paschale –
tajemnica Przejścia,
w której
jest odwrócony porządek mijania,
gdyż przemija się od życia ku śmierci –

takie jest doświadczenie i oczywistość taka.
Przechodzenie poprzez śmierć ku życiu
jest tajemnicą.
Tajemnica – to zapis głęboki
dotychczas nie odczytany do końca,
poczuwany, niesprzeczny z istnieniem
(czyż nie bardziej sprzeczna jest śmierć?).
Jeśli Ktoś odsłoni ten zapis
i odczyta, i sprawdzi na sobie,
i PRZEJDZIE –
wówczas dotykamy śladów
i przyjmujemy sakrament, w którym pozostał
Ten, co odszedł...
i przemijając nadal ku śmierci,
trwamy w przestrzeni tajemnicy.

[...]

[1975]

Odkupienie szuka twego kształtu, aby wejść w niepokój wszystkich ludzi

I. WERONIKA

1.

Wciąż we mnie się przeobraża zawartość powszednich dni,
wciąż szuka ujścia jak rzeka,
własnym swoim ciężarem przyciśnięta do dna

-

tędy wciąż upływa ziemia, powszednie dni zostają:
pomiędzy mną a ziemią jest ciągłość zarazem i „hiatus”,
najciekawsze pęknięcie wszechświata,
który może nie szuka spełnienia,
lecz ja, człowiek, muszę go szukać,
jak rzeka ujścia.

W tym szukaniu przeobraża się wciąż zawartość powszednich dni
- ujściem jest myśl?

Rosnąć w górę: przestrzeń zieleni podparta sercem
idzie naprzeciw brzemieniom wiatru
zrzucając znienacka w listowie,
rosnąć w głąb: nie rosnąć, odkrywać,
jak głęboko zapuściłaś korzenie,
że jeszcze głębiej...

Poruszamy się w mroku korzeni
zapuszczonych we wspólnej glebie.
Porównuję stąd światła w górze:
refleks wody na brzegach zieleni.

2.
Żaden człowiek nie ma ścieżek gotowych.
Rodzimy się jak gąszcz,
który może zapłonąć podobnie jak krzak Mojżesza
lub może uschnąć.

Ścieżki trzeba przecierać wciąż, bo mogą zarosnąć na nowo,
przecierać je trzeba tak długo, aż staną się proste
prostotą i dojrzałością wszystkich chwil:
oto każda chwila się otwiera całym czasem,
staje jakby cała ponad sobą,
znajdujesz w niej ziarno wieczności.

3.
Kiedy ciebie nazywam siostrą,
wówczas myślę, że każde spotkanie
nie tylko nosi w sobie wspólnotę chwili,
lecz ziarno tej samej wieczności.

[...]

[1978]

Stanisław

I

1.
Pragnę opisać Kościół -
mój Kościół, który rodzi się wraz ze mną,
lecz ze mną nie umiera - ja też nie umieram z nim,
który mnie stale przerasta -

Kościół: dno bytu mojego i szczyt.
Kościół - korzeń, który zapuszczam w przeszłość
i przyszłość zarazem,
Sakrament mojego istnienia w Bogu,
który jest Ojcem.

Pragnę opisać Kościół -
mój Kościół, który związał się z moją ziemią
(powiedziano mu „cokolwiek zwiążesz na ziemi,
będzie związane w niebie”) -
więc związał się z moją ziemią mój Kościół.
Ziemia leży w dorzeczu Wisły,
dopływy wzbierają wiosną, gdy śniegi topnieją
w Karpatach.
Kościół związał się z moją ziemią,
aby wszystko, co na niej zwiąże, było związane
w niebie.

2.
Był człowiek, w którym moja ziemia ujrzała,
że jest związana z niebem.
Był taki człowiek, byli ludzie... i ciągle tacy są...
Poprzez nich ziemia widzi siebie w sakramencie
nowego istnienia.
Jest ojczyzną: bowiem w niej dom Ojca się poczyna,
z niej się rodzi.
Pragnę opisać mój Kościół w człowieku,
któremu dano imię Stanisław.
I imię to król Bolesław mieczem wpisał w najstarsze kroniki.
Imię to mieczem wypisał na posadzce katedry,
gdy spłynęły po niej strugi krwi.

3.
Pragnę opisać Kościół w imieniu, którym naród
ponownie został ochrzczony
chrztem krwi: aby nieraz potem przechodzić
przez chrzest innej próby –
przez chrzest pragnień, w których odsłania się
ukryte tchnienie Ducha –
W Imieniu zaszczerpionym na glebie ludzkiej wolności
wcześniej niż imię Stanisław

4.
Na glebie ludzkiej wolności już rodziło się
Ciało i Krew,
przecięte mieczem królewskim w samym rdzeniu
kapłańskiego słowa,
przecięte u podstaw czaszki, przecięte w żywym pniu...
Ciało i Krew nie zdążyły jeszcze się narodzić –
miecz ugodził o kielich z metalu i pszenney chleb

5.

Myślał król może: nie narodzi się z ciebie Kościół
jeszcze dziś –
nie narodzi się naród ze słowa, co karcia ciało i krew,
narodzi się z miecza, z mego miecza, który przetnie
w połowie Twe słowa,
narodzi się z krwi rozlanej...: myślał może król.

Ukryte tchnienie Ducha w jedno wszelako zespoli
słowo przecięte i miecz, złamano stos mózgowy i ręce
pełne krwi...

i mówi: pójdziecie w przyszłości razem,
nie rozdzieli was nic!

Pragnę opisać mój Kościół, w którym przez wieki
idą ze sobą razem słowo i krew
zespolone ukrytym tchnieniem Ducha.

6.

Myślał może Stanisław: słowo moje zaboli ciebie i nawróci,
przyjdiesz do bram katedry jak pokutnik,
przyjdiesz postem wycieńczony, prześwietlony
wewnętrznym głosem...

i dołączysz się do Stołu Pańskiego jak marnotrawny syn.
Słowo nie nawróciło, nawróci krew –
nie zdążył może pomyśleć biskup:
odwróć ode mnie ten kielich.

7.

Na glebę naszej wolności upada miecz.
Na glebę naszej wolności upada krew.
Który ciężar przeważy?

Kończy się pierwszy wiek.
Zaczyna się drugi wiek.
Bierzemy w swoje ręce ZARYS nieuchronnego czasu.

II

1.

Ziemia przebiega w oknach, przebiegają drzewa i pola.
I mieni się śnieg na gałęziach, a potem w słońcu opada.
I znowu zieleń: młoda naprzód, potem dojrzała,
wreszcie gasnąca jak świece.
Ziemia polska przebiega w zieleniach, jesieniach i śniegach.

Chłonie ją pieszy wędrowiec – z krańca do krańca
trudno przejść.
I ptak nie przeleci tak łatwo, lecz samolot
w godzinę pochłonie tę przestrzeń –
Ojczyznę zamknie w swój kwadrat.

2.
Ziemia trudnej jedności. Ziemia ludzi szukających własnych dróg.
Ziemia długiego podziału wśród książąt jednego rodu.
Ziemia poddana wolności każdego względem wszystkich.
Ziemia na koniec rozdarta przez ciąg prawie sześciu pokoleń,
rozdarta na mapach świata! a jakżeż w losach swych synów!
Ziemia poprzez rozdarcie zjednoczona w sercach Polaków
jak żadna.

3.
Skąd wyrosło to imię, jakie otrzymał dla ludzi?
dla rodziców, dla rodu, dla stolicy biskupiej w Krakowie,
dla króla Bolesława zwanego Śmiałym i Szczodrym?
dla dwudziestego stulecia?

To imię.

[1978]

Tryptyk rzymski

I. STRUMIENÍ

Ruah

Duch Boży unosił się nad wodami...

1. ZDUMIENIE

Zatoka lasu zstępuje
w rytmie górskich potoków
ten rytm objawia mi Ciebie,
Przedwieczne Słowo.
Jakże przedziwne jest Twoje milczenie
we wszystkim, czym zewsząd przemawia
stworzony świat...
co razem z zatoką lasu
zstępuje w dół każdym zboczem...
to wszystko, co z sobą unosi
srebrzysta kaskada potoku,

który spada z góry rytmicznie
niesiony swym własnym prądem...
— niesiony dokąd?

Co mi mówisz górski strumieniu?
w którym miejscu ze mną się spotykasz?
ze mną, który także przemijam —
podobnie jak ty...
Czy podobnie jak ty?
(Pozwól mi się tutaj zatrzymać -
pozwól mi się zatrzymać na progu,
oto jedno z tych najprostszych zdumień).
Potok się nie zdumiewa, gdy spada w dół
i lasy milcząco zstępują w rytmie potoku
— lecz zdumiewa się człowiek!
Próg, który świat w nim przekracza,
jest progiem zdumienia.
(Kiedyś temu właśnie zdumieniu nadano imię „Adam”).

Był samotny z tym swoim zdumieniem
pośród istot, które się nie zdumiewały
— wystarczyło im istnieć i przemijać.
Człowiek przemijał wraz z nimi
na fali zdumień.
Zdumiewając się, wciąż się wyłaniał
z tej fali, która go unosiła,
jakby mówiąc wszystkiemu wokoło:
„zatrzymaj się! — masz we mnie przystań”
„we mnie jest miejsce spotkania
z Przedwiecznym Słowem” -
„zatrzymaj się, to przemijanie ma sens”
„ma sens... ma sens... ma sens!”.

2. ŹRÓDŁO

Zatoka lasu zstępuje
w rytmie górskich potoków...
Jeśli chcesz znaleźć źródło,
mujesz iść do góry, pod prąd.
Przedzieraj się, szukaj, nie ustępuj,
wiesz, że ono musi tu gdzieś być -
Gdzie jesteś, źródło?... Gdzie jesteś, źródło?!

Cisza...
Strumieniu, leśny strumieniu,
odśłoń mi tajemnicę
swego początku!

(Cisza — dlaczego milczysz?
Jakże starannie ukryłeś tajemnicę twego początku).

Pozwól mi wargi umoczyć
w źródlanej wodzie
odczuć świeżość,
ożywczą świeżość.

II. MEDYTACJE NAD KSIĘGĄ RODZAJU NA PROGU KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ

1. PIERWSZY WIDZĄCY

„W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” — mówi Paweł na ateńskim

Areopagu —

Kim jest On?

Jest jak gdyby niewysłowiona przestrzeń, która wszystko ogarnia —

On jest Stwórcą:

Ogarnia wszystko powołując do istnienia z nicości nie tylko na początku,

ale wciąż.

Wszystko trwa stając się nieustannie —

„Na początku było Słowo i wszystko przez Nie się stało”.

Tajemnica początku rodzi się wraz ze Słowem, wyłania się ze Słowa.

Słowo — odwieczne widzenie i odwieczne wypowiedzenie.

Ten, który stwarzał, widział — widział, „że było dobre”,

widział widzeniem różnym od naszego,

On — pierwszy Widzący —

Widział, odnajdywał we wszystkim jakiś ślad swej Istoty, swej pełni —

Widział: *Omnia nuda et aperta sunt ante oculos Eius*¹ —

Nagie i przejrzyste —

Prawdziwe, dobre i piękne —

Widział widzeniem jakże innym niż nasze.

Odwieczne widzenie i odwieczne wypowiedzenie:

„Na początku było Słowo i wszystko przez Nie się stało”,

wszystko, w czym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy —

Słowo, przedziwne Słowo — Słowo przedwieczne, jak gdyby próg

niewidzialny

wszystkiego co zaistniało, istnieje i istnieć będzie.

Jakby Słowo było progiem.

¹ (łac.) Wszystko odkryte i odsłonięte jest przed Jego oczami.

Próg Słowa, w którym wszystko było na sposób niewidzialny,
odwieczny i boski — za tym progiem zaczynają się dzieje!

Stoję przy wejściu do Sykstyny —
Może to wszystko łatwiej było wypowiedzieć językiem Księgi Rodzaju —
Ale Księga czeka na obraz. — I słusznie. Czeką na swego Michała Anioła.
Przecież ten, który stwarzał, „widział” — widział, że „było dobre”.
„Widział”, a więc Księga czekała na owoc „widzenia”.
O ty, człowieku, który także widzisz, przyjdź —
Przyzywam was wszystkich „widzących” wszech czasów.
Przyzywam ciebie, Michale Aniele!
Jest w Watykanie kaplica, która czeka na owoc twego widzenia!
Widzenie czekało na obraz.
Odkąd Słowo stało się ciałem, widzenie wciąż czeka.

Stajemy na progu Księgi.

Jest to Księga Rodzaju — *Genesis*.
Tu, w tej kaplicy, wypisał ją Michał Anioł
nie słowem, ale bogactwem
spiętrzonych kolorów.

Wchodzimy, żeby odczytywać,
od zdziwienia idąc ku zdziwieniu.

Tak więc to tu — patrzemy i rozpoznajemy
Początek, który wyłonił się z niebytu
posłuszny stwórczemu Słowu;
Tutaj przemawia z tych ścian.
A chyba potężniej jeszcze przemawia Kres.
Tak, potężniej jeszcze przemawia Sąd.
Sąd, ostateczny Sąd.
Oto droga, którą wszyscy przechodzimy —
każdy z nas.

2. OBRAZ I PODOBIENSTWO

„Uczył Bóg człowieka na swój obraz i podobieństwo,
mężczyzną i niewiastą stworzył ich —
i widział Bóg, że było bardzo dobre,
oboje zaś byli nadzy i nie doznawali wstydu”.

Czy to możliwe?

Współczesnych o to nie pytaj, lecz pytaj Michała Anioła
(a może także współczesnych!?).

Pytaj Sykstyny.

Jak wiele tu powiedziane na tych ścianach!

Początek jest niewidzialny. Tu wszystko na to wskazuje.
Cała ta bujna widzialność, jaką ludzki geniusz wyzwolił.
I kres także jest niewidzialny.
Choć tu spada na twój wzrok wędrowcze
wizja ostatecznego Sądu.
Jak uczynić widzialnym, jak przeniknąć poza granice dobra i zła?
Początek i kres, niewidzialne, przenikają do nas z tych ścian!

On

„W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”.
Czy On jest tylko przestrzenią bytowania bytujących?

Jest Stwórcą.

Ogarnia wszystko stwarzając i podtrzymując w istnieniu —
Sprawia podobieństwo.
Gdy Paweł apostoł przemawia na Areopagu
wyraża się w jego słowach cała tradycja Przymierza.
Dzień każdy kończył się tam słowami:
„I widział Bóg, że było dobre”.

Widział, odnajdywał ślad swojej Istoty —
Znajdował swój odbłask we wszystkim, co widzialne.
Przedwieczne Słowo jest jak gdyby progiem,
za którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy.

Człowiek (Ja)

Dlaczego o tym właśnie jedynym dniu powiedziano:
„Widział Bóg, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre”?
Czy temu nie przeczą dzieje?
Choćby nasz wiek dwudziesty! I nie tylko dwudziesty!
A jednak żaden wiek nie może przesłonić prawdy
o obrazie i podobieństwie.

Michał Anioł

Z tą prawdą kiedyś zamknął się w Watykanie,
aby wyjść stamtąd, pozostawiając Kaplicę Sykstyńską.
„Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz,
na obraz Boży go stworzył,
mężczyzną i niewiastą stworzył ich.
Chociaż oboje byli nadzy,
nie doznawali wobec siebie wstydu”!
I widział Stwórcę, że było bardzo dobre.
Czyż nie On właśnie widzi wszystko w całej prawdzie?
Omnia nuda et aperta ante oculos Eius —

Oni

Oni także u progu dziejów
widzą siebie w całej prawdzie:
byli oboje nadzy...
Oni także stali się uczestnikami tego widzenia,
które przeniósł na nich Stwórca.
Czyż nie chcą nimi pozostać?
Czyż nie chcą odzyskiwać tego widzenia na nowo?
Czyż nie chcą dla siebie być prawdziwi i przejrzysti —
jak są dla Niego?
Jeśli jest tak, śpiewają hymn dziękczynny,
jakiś *Magnificat* ludzkiej głębi
i wtedy jakże głęboko czują,
że właśnie „W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” — Właśnie w Nim!
To On pozwala im uczestniczyć w tym pięknie, jakie w nich tchnął!
To On otwiera im oczy.
Kiedyś Michał Anioł wychodząc z Watykanu
pozostawił polichromię, której kluczem jest „obraz i podobieństwo”.
Wedle tego klucza niewidzialne wyraża się w widzialnym.
Prasakrament.

3. PRASAKRAMENT

Kimże jest On? Niewypowiedziany. Samoistne Istnienie. Jedyny. Stwórca
wszystkiego.

Zarazem Komunia Osób.

W tej Komunii wzajemne obdarowywanie pełnią prawdy, dobra i piękna.

Nade wszystko jednak — niewypowiedziany.

A przecież powiedział nam o Sobie.

Powiedział także, stwarzając człowieka na swój obraz i podobieństwo.

W polichromii sykstyńskiej Stwórca ma ludzką postać.

Jest Wszechmocnym Starcem—Człowiekiem podobnym do stwarzanego
Adama.

A oni?

„Mężczyzną i niewiastą stworzył ich”.

Został im przez Boga zadany dar.

Wzięli w siebie — na ludzką miarę — to wzajemne obdarowanie,
które jest w Nim.

Oboje nadzy...

Nie odczuwali wstydu, jak długo trwał dar —

Wstyd przyjdzie wraz z grzechem,

a teraz trwa uniesienie. Żyją świadomi daru,

choć może nawet nie umieją tego nazwać.

Ale tym żyją. Są czyści.

Casta placent superis; pura cum veste venite,

*et manibus puris sumite fontis aquam*² —
słowa te czytałem codziennie przez osiem lat,
wchodząc w bramę wadowickiego gimnazjum.

Prasakrament — samo bycie widzialnym znakiem odwiecznej Miłości.

A kiedy będą się stawać „jednym ciałem”
— przedziwne zjednoczenie —
za jego horyzontem odsłania się
ojcostwo i macierzyństwo.
— Sięgają wówczas do źródeł życia, które są w nich.
— Sięgają do Początku.
— Adam poznał swoją żonę
a ona poczęła i porodziła.
Wiedzą, że przeszli próg największej odpowiedzialności!

SPEŁNIENIE — *APOCALYPSIS*

Kres jest tak niewidzialny, jak początek.
Wszechświat wyłonił się ze Słowa i do Słowa też powraca.
W samym centrum Sykstyny artysta ten niewidzialny kres wyraził
w widzialnym dramacie Sądu —
I ten niewidzialny kres stał się widzialny jakby szczyt przejrzystości:
omnia nuda et aperta ante oculos Eius!
Słowa zapisane u Mateusza, tutaj zamienione w malarską wizję:
„Pójdźcie błogosławieni... idźcie przekłęci”...
I tak przechodzą pokolenia —
Nadzy przychodzą na świat i nadzy wracają do ziemi, z której zostali wzięci.
„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.
To co było kształtne w bezkształtne.
To co było żywe — oto teraz martwe.
To co było piękne — oto teraz brzydota spustoszenia.

A przecież nie cały umieram,

to co we mnie niezniszczalne trwa!

4. SĄD

W Kaplicy Sykstyńskiej artysta umieścił Sąd.
W tym wnętrzu Sąd dominuje nad wszystkim.
Oto kres niewidzialny stał się tutaj przejmująco widzialny.
Kres i zarazem szczyt przejrzystości —
Taka jest droga pokoleń.

² (łac.) To, co czyste, podoba się niebianom; przychodźcie czysto odziani i czystymi rękami czerpcie źródlaną wodę.

*Non omnis moriar*³ —

To co we mnie niezniszczalne,
teraz staje twarzą w twarz z Tym, który Jest!
Tak zaludniła się ściana centralna sykstyńskiej polichromii.
Pamiętasz, Adamie? On na początku ciebie pytał „gdzie jesteś?”
A ty odrzekłeś: „Ukryłem się przed Tobą, bo jestem nagi”.
„Któż ci powiedział, że jesteś nagi?” ...
„Niewiasta, którą mi dałeś” podała mi owoc...

Ci wszyscy, którzy zaludniają ścianę centralną sykstyńskiej polichromii,
niosą w sobie dziedzictwo twojej wówczas odpowiedzi!
Tego pytania i tej odpowiedzi!
Taki jest kres waszej drogi.

POSŁOWIE

I tu właśnie u stóp tej przedziwnej sykstyńskiej polichromii
zbierają się kardynałowie —
wspólnota odpowiedzialna za dziedzictwo kluczy Królestwa.
Przychodzi właśnie tu.
I Michał Anioł znów ogarnia ich widzeniem.
„W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”...

Kim jest On?
Oto dłoń stwarzająca Wszechmogącego Starca skierowana w stronę Adama...
Na początku Bóg stworzył...
On wszystko widzący...

Sykstyńska polichromia przemawia wówczas Słowem Pana:
*Tu es Petrus*⁴ — usłyszał Szymon, syn Jony.
„Tobie dam klucze Królestwa”.
Ludzie, którym troskę o dziedzictwo kluczy powierzono,
zbierają się tutaj, pozwalają się ogarnąć sykstyńskiej polichromii,
wizji, którą Michał Anioł pozostawił —
Tak było w sierpniu, a potem w październiku pamiętnego roku dwóch

konklawe,

i tak będzie znów, gdy zajdzie potrzeba,
po mojej śmierci.
Trzeba, by przemawiała do nich wizja Michała Anioła.
„*Con-clave*”⁵: wspólna troska o dziedzictwo kluczy, kluczy Królestwa.
Oto widzą siebie pomiędzy Początkiem i Kresem,
pomiędzy Dniem Stworzenia i Dniem Sądu...
Postanowiono człowiekowi raz umrzeć, a potem Sąd!

Ostateczna przejrzystość i światło.

³ (łac.) Nie wszystek umrę.

⁴ (łac.) Ty jesteś Piotr.

⁵ (łac.) Z kluczem; zgromadzenie kardynałów dla wyboru papieża.

Przejrzystość dziejów —
Przejrzystość sumień —
Potrzeba, aby w czasie konklawe Michał Anioł uświadomił ludziom —
Nie zapominajcie: *Omnia nuda et aperta sunt ante oculos Eius.*
Ty, który wszystko przenikasz — wskaż!
On wskaże...

III. WZGÓRZE W KRAINIE MORIA

1. UR W ZIEMI CHALDEJSKIEJ

Był taki czas, kiedy ludzie
nie przestawali wędrować.
Otoczeni stadami szli tam, gdzie ich wołał urodzaj:
tam, gdzie ziemia jak żyzna matka
zdolna była wykarmić zwierzęta,
tam i człowiek rozbijał namioty,
zaczynał mieszkać.

Dlaczego my dziś szukamy
tego miejsca w ziemi chaldejskiej,
skąd wyruszył Abram syn Teracha
z gromadą podobnych sobie koczowników?
Myślał może: dlaczego mam stąd odchodzić?
Dlaczego mam opuszczać Ur w ziemi chaldejskiej?
Czy tak myślał? Czy odczuwał smutek rozstania?
Czy oglądał się wstecz?
Nie wiemy. Wiemy tylko, że słyszał Głos,
który mówił do niego: Wyjdź!
Abram postanowił iść za Głosem.

Głos mówił: Będziesz ojcem wielu narodów,
potomstwo twoje będzie tak liczne, jak piasek na brzegu morskim.
Jakżeż spełni się ta obietnica — myślał Abram,
gdy natura odmówiła mi daru ojcostwa?
Małżonka, którą umiłowałem od dni mej młodości,
nie dała mi syna. Cierpimy nad tym oboje.
Głos jednak mówił: Będziesz ojcem. Będziesz ojcem wielu narodów.
Potomstwo twoje będzie tak liczne, jak piasek na brzegu morskim.

2. *TRES VIDIT ET UNUM ADORAVIT*⁶

⁶ (łac.) Trzech zobaczył, ale jednego uwielbił.

Kto mógł tak przywoływać przyszłość
daleką i bliską?

Kim jest Ten Bez-Imienny,
który zechciał objawić się w głosie?
Który mówił tak do Abrama,
jak mówi Człowiek do człowieka?

Był Inny. Niepodobny do wszystkiego,
co mógł pomyśleć o Nim człowiek.
Mówił — więc oczekiwał odpowiedzi...

Raz przyszedł do Abrama w gościnę.
Było Przybyszów Trzech, których przyjmował
z wielką czcią.
Abram zaś wiedział, że to On,
On jeden.
Rozpoznał Głos. Rozpoznał obietnicę.
W rok później cieszyli się oboje z Sarą
narodzinami syna,
choć byli już w latach podeszli.

Syn — to znaczy: ojcostwo i macierzyństwo.
Będziesz ojcem, Abramie, będziesz ojcem wielu ludów.
Odtąd już imię twoje będzie „Abraham”.
W tym imieniu będę ci błogosławił.
W tym imieniu rozmnożę twe potomstwo
aż po najdalsze krańce ziemi.
Imię to będzie znaczyło: „Ten, który uwierzył wbrew nadziei”.

Wkoło ludzie i ludy sami sobie tworzyli bogów
(tak Egipt, tak Hellada, tak Rzym).
On, Abraham, uwierzył Temu, który Jest,
z Kim rozmawiał, kiedy szedł za Głosem,
przed Kim otwierał drzwi swego namiotu,
w gościnę Jego zapraszał,
z Nim obcował.

My dzisiaj właśnie do tych miejsc powracamy,
tędy bowiem przyszedł kiedyś Bóg do Abrahama.
Do Abrahama, który uwierzył, przyszedł Bóg.

Gdy ludy i ludzie sami sobie tworzyli bogów,
przyszedł Ten, który Jest.
Wszedł w dzieje człowieka
i odsłonił mu Tajemnicę zakrytą
od założenia świata.

3. ROZMOWA OJCA Z SYNEM W KRAINIE MORIA

Tak szli i rozmawiali już trzeci dzień:
Oto wzgórze, na którym mam złożyć Bogu ofiarę —
mówił ojciec. Syn milczał, nie śmiał pytać:
Gdzie jest żertwa? mamy ogień i drwa i nóż ofiarny,
lecz gdzie żertwa?
Bóg sam sobie tę żertwę upatrzy —
tak powiedział, nie śmiał głośno
wypowiedzieć tych słów: żertwą, mój synu, będziesz ty —
więc milczał.

Tym milczeniem znów się zapadał w głuchy ostęp.
Słyszał Głos, który go prowadził.
Teraz Głos umilkł.
Został sam ze swym imieniem
Abraham: Ten, który uwierzył wbrew nadziei.
Za chwilę zbuduje stos ofiarny,
rozpali ogień, zwiąże ręce Izaaka —
i wówczas — co? zapłonie stos...
Widzi siebie już ojcem martwego syna,
którego Głos mu dał, a teraz mu odbiera?

O Abrahamie, który wstępujesz na to wzgórze w krainie Moria,
jest taka granica ojcostwa, taki próg, którego ty nie przekroczysz.

Inny Ojciec przyjmie tu ofiarę swego Syna.
Nie lękaj się, Abrahamie, idź dalej przed siebie
i czyń, co masz czynić.
Ty będziesz ojcem wielu narodów,
czyń, co masz czynić, do końca.

On sam powstrzyma twą rękę,
gdy będzie gotowa zadać ów ofiarniczy cios...
On sam nie dopuści, aby spełniła twa ręka
to, co już spełniło się w sercu.
Tak — zawisnie w powietrzu twa ręka.
On sam ją wstrzyma.
I odtąd wzgórze w krainie Moria stanie się oczekiwaniem —
na nim bowiem ma się spełnić tajemnica.

4. BÓG PRZYMIERZA

O Abrahamie — Ten, który wszedł w dzieje człowieka,
pragnie tylko przez ciebie odsłonić tę tajemnicę zakrytą od założenia świata,
tajemnicę dawniejszą niż świat!

Jeśli dziś wędrujemy do tych miejsc,
z których kiedyś wyruszył Abraham,

gdzie usłyszał Głos, gdzie spełniła się obietnica,
to dlatego,
by stanąć na progu —
by dotrzeć do początku Przymierza.

Bo Bóg Abrahamowi objawił,
czym jest dla ojca ofiara własnego syna — śmierć ofiarna.
O Abrahamie — tak bowiem Bóg umiłował świat,
że Syna swojego dał, aby każdy, kto w Niego uwierzył,
miał żywot wieczny.

— Zatrzymaj się —
Ja noszę w sobie twoje imię,
to imię jest znakiem Przymierza,
które zawarło z tobą Słowo Przedwieczne
zanim stworzony był świat.

Zapamiętaj to miejsce, kiedy stąd odejdziesz,
ono będzie oczekiwać na swój dzień —

ANEKSY

Nad Twoją białą mogiłą
kwitną białe życia kwiaty —
o, ileż lat to już było
bez Ciebie — przed iluż to laty?

Nad Twoją białą mogiłą,
od lat tylu już zamkniętą
- jakby w górę coś wznosiło —
coś, tak jak śmierć niepojęte.

Nad Twoją białą mogiłą,
o Matko, zgasłe Kochanie —
za całą synowską miłość
modlitwa:
Daj wieczne odpoczywanie —

Kraków, wiosną 1939

HARFIARZ

1. Koronę złotą na mą skroń
włożyłeś w Izraelu
i rzekłeś: śpiewem ptaku, dzwoń
na godach, na weselu!

-

2. Wyroczni Twojej słuchałem od młodu,
gdy Samuel mnie powołał,
bym był śpiewakiem na służbie narodu,
bym Boży opiewał chorał.

Choralne Tobie nucę granie
w świątyni Twojej progę.
Słysz moją harfę, słysz śpiewanie!
Król-pieśniarz śpiewam Bogu.

-

3. Rzesze się mnogie gromadzą,
naród u wielkich podwoi;
zeszły się rzesze i radzą;
czy pieśń je moja napoi?
zeszły się rzesze gromadą,
u wielkich radzą podwoi;
czy pieśń je moja posili?
Czy pieśń je moja napoi?

Na złomach strudzone kładą
swe czoła, do głązów cisną:
czyli Tve promienie zabłysną?
czy pieśniarz harfę już stroi?

O śpiewam, śpiewam, narodzie!
O rzeszo, głosów mych słuchaj!
Promieniu światły, wybuchaj
w słonecznych grotów pochodzie!

O Boże, słuchaj, jak gwarzą,
jak szemrzą, u wrót szemrają,
czy harfy moje już grają
do złomów przyparci twarzą?

Do wrót już sięgli, zatrzęśli,
już wrota
O Panie, siłę sil moją
i mocy przydawaj gęśli!

-

4. Kazałeś czekać i wytrwać w mocy,

choć giąłeś mię ciężarem,
w trudach i walce długiej nocy,
nim jutrznia błysnie pożarem.

Jutrzni czekałem, zorzym wyglądał
i światel tych różanych;
oblicza(m) Twego słońca pożądał,
Twych Słów zapowiedzianych.

Rzekłeś, że przyjdiesz, słowem zbawisz,
że stąpisz na grodzisko,
że nas, niewolne, ułaskawisz,
i zejdziesz pośmiewisko.

Bliska już chwila. – Idziesz, Boże,
o słońce Ty złociste,
ślesz Twe promienie, het, w przestworze,
Twe głosy wiekuiste.

-

5. Rozewrzyj strop, rozeprzej ściany,
w rum zwał ołtarze – truny.
Przybywaj, Zbawco – wywołany,
w różanej blaskach łuny.

Już słyszę rum rumaków. Świta!
Już zorze krasne palą.
Centaurów Twoich to kopyta
kamienie kolumn wałą.

Pękają mury, złomy (?) runą,
z posad się sypie ściana.
W rydwanie złotym Ty nad truną,
chorągiew nieskalana.

Złotem się runi Twoje lice,
złotem się szata wlecze.
Spełniłeś nocy tajemnice,
iskrami wzrok Twój siecze.

O srebro trumny bij kołami (?).
O Zbawco, krusz kajdany.
To zew, słoneczny: jestem z wami,
Świątyni Pan zjednany.

To rzec: przybyłem, Bóg przybyłem,
przede mną innych nie masz
i nie masz nic nad moce moje,
w te skały się zaryłem.

Ze skier, co płoną pod stopami,

świątynię zamknę nową
i będę Bóg sam mieszkał z wami,
gdy rzekłem moje Słowo.

-

6. O Nieśmiertelny, ponad świat,
nad światy władny mnogie;
położysz kres niewoli lat
i pęta zejmiesz wrogie.

Pokruszysz pęta, w skrzydeł lot
na nieśmiertelne trwanie.
Niechaj na dzwonach bije młot
Twe wielkie Zmartwychwstanie!

[jesień 1939]
